

Debaty komitetów problemowych Wydziału I. Nauk Humanistycznych i Społecznych PAN: Komitetu Etyki w Nauce i Komitetu Naukoznawstwa (13 listopada 2014, Warszawa)

Współpraca pomiędzy Komitetem Etyki w Nauce PAN i Komitetem Naukoznawstwa PAN ma już pewną tradycję. Obydwa Komitety działają w tych samych strukturach PAN jako komitety problemowe przy Wydziale I. Nauk Humanistycznych i Społecznych. Łączy je jednak nie tylko wspólny status organizacyjny, ale przede wszystkim wspólny obszar podejmowanych problemów. A są to problemy żywo nurtujące środowisko akademickie, mające znaczenie nie tylko dla społeczności akademickiej, lecz ważne także w szerszym wymiarze społecznym. Zachowanie standardów etycznych w życiu akademickim (badaniach, edukacji, począwszy od dostępu do edukacji, tu już na poziomie wyższym, aż po rozwijaną w jej wyniku karierę) nie pozostaje bez wpływu na społeczeństwo i to nie tylko w sensie społeczeństwa wiedzy, ale też realizowanych w tym społeczeństwie działań, jak i dokonywanych wyborów, ważnych dla różnych sfer życia społecznego. Tym wybranym problemom etycznym lub pewnym aspektom etycznym działalności uczonych poświęcane są wspólne posiedzenia obydwu komitetów problemowych.

Pierwsze z nich odbyło się 6 listopada 2012 roku na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu i połączone było ze zorganizowaną przez obydwie Komitety wspólnie z Instytutem Filozofii UMK dwudniową konferencją pt. „Etyka w badaniach naukowych i szkolnictwie wyższym” (z panelem „Uczciwość i oszustwo w nauce”, moderowanym przez prof. Wojciecha Gasparskiego). W dwa lata później 13 listopada 2014 roku Komitet Etyki w Nauce i Komitet Naukoznawstwa zorganizowały wspólną sesję naukową, której nadano formę debat. Posiedzenie, które miało miejsce w Pałacu Staszica w Warszawie, obejmowało dwie debaty:

Debata I. Rola uczonego w debacie publicznej

Moderator:

prof. Jan Woleński

(przewodniczący Komitetu Etyki w Nauce, członek korespondent PAN).

Uczestnicy:

prof. Ewa Łętowska

(Instytut Nauk Prawnych PAN, Komitet Etyki w Nauce, członek rzeczywisty PAN),

prof. Andrzej Bronk (KUL, Komitet Etyki w Nauce),

red. Piotr Kieraciński (Forum Akademickie).

Debata II. Etyczne aspekty rankingów w nauce*Moderator:*

prof. Ewa Okoń-Horodyńska
(UJ, wiceprzewodnicząca Komitetu Naukoznawstwa)

Uczestnicy:

prof. Jerzy Marian Brzeziński
(UAM, przewodniczący Rady Kuratorów Wydziału I PAN, członek rzeczywisty PAN),
prof. Jan Sadlak
(prezydent, IREG Observatory on Academy Ranking and Excellence),
prof. Marek Bryx
(prorektor SGH, Komitet Naukoznawstwa).

Poniżej publikujemy wypowiedzi panelistów uczestniczących w obydwu debatach.
Zapraszamy do lektury i włączenia się do dyskusji.

URSZULA ŻEGLEŃ
przewodnicząca
Komitetu Naukoznawstwa PAN

JAN WOLEŃSKI
przewodniczący
Komitetu Etyki w Nauce PAN

Debata I. Rola uczonego w debacie publicznej

JAN WOLEŃSKI

Wprowadzenie do debaty

Debata publiczna dotyczy niemal wszystkiego, m.in. kwestii politycznych, społecznych, światopoglądowych, moralnych, prawnych, ekonomicznych, medycznych, a także ochrony środowiska, naszych obowiązków wobec zwierząt czy zmian klimatycznych. Trudno sobie dzisiaj wyobrazić debatę publiczną bez udziału przedstawicieli świata nauki, ponieważ wiele dyskutowanych kwestii ma związek z konkretną wiedzą ustalaną przez uczonych. Ponieważ debata publiczna jest obecnie łatwo dostępna dla szerokiej publiczności nie tylko za pośrednictwem mniej lub bardziej tradycyjnych mediów (prasy, radia i telewizji), ale także „nowej siły informacyjnej”, jaką jest Internet, rola tych, którzy przekazują wiadomości pieczętowane autorytetem nauki (czy nawet Nauki) jest taka, jak nigdy przedtem. Z drugiej strony, ponieważ uczonego jest również obywatelem, niekiedy członkiem partii politycznej, wyznaje lub nie jakąś religię lub światopogląd czy/i ma całkiem określone zapatrywania moralne, jego rola w debacie publicznej jest skomplikowana. Czy mamy przyjąć, jak kiedyś powiedział Marian Mazur, że naukowcy są odpowiedzialni za naukę, a nie za wszystko, ponieważ za wszystko są odpowiedzialni wszyscy, czy też uznać, że głos uczonego waży szczególnie w każdym lub prawie każdym przypadku debaty publicznej? Dla uwyrażnienia tych kwestii pozwalam sobie przedstawić cztery następujące pytania:

- 1) Jak wyznaczać kompetencje do zabierania głosu w debatach publicznych?
- 2) Jaka ma być rola wiedzy, a jaka przekonań moralnych, politycznych itp.?
- 3) Jakie są kryteria przyjmowania zaproszeń i odmów udziału?
- 4) Jak ma wyglądać odpowiedzialność za to, co głosi się w debatach publicznych?

Teraz głos należy do panelistów.

EWA ŁĘTOWSKA

Udział naukowców w debacie publicznej w opinii prawnika

Rozpaczynam od postawienia tezy.

- 1) Kodeks etyki pracownika naukowego nakłada obowiązek niemilczenia w obliczu dostrzeganych przez naukowca (w domyśle: z uwagi na posiadaną wiedzę fachową) zagrożeń. W moim przekonaniu oznacza to, że udział w dyskursie publicznym jest nie tylko pożądany, ale wręcz zalecany.

- 2) Udział naukowców w debacie publicznej, omawiany z punktu widzenia etycznego, przez osobę z tytułem naukowym o określonej specjalności (tu akurat: prawnika), na posiedzeniu gremium, którego działanie ma na celu podwyższenie etycznych standardów tego dyskursu lub uświadomienie przyczyn, które temu nie sprzyjają, wymaga kilku założeń wstępnych:
- Dyskusja o standardach etycznych wymaga analizy i oceny sytuacji konkretnych. Nie wystarczy tu budowanie abstrakcyjnych norm mówiących o powinnościach naukowców. W wielu krajach standardy etyczne naukowców (i innych profesji) to zbiory konkretnych kazusów, opisów sytuacji, ze wskazaniem uwarunkowań, kompromisów, proporcji mówiących, jak sytuację rozwiązywać. Do tego też należałoby dążyć i w Polsce. Temu, jak sądzę, powinna sprzyjać debata prowadzona na posiedzeniach komitetów naukowych, zajmujących się kwestiami etycznymi. I tu powstaje pierwsza trudność. Po pierwsze, taka systematyczna praca nad zbieraniem kazusów jest stylem obcym w polskiej debacie publicznej: powierzchownej, nienastawionej na systematyczną pracę w dłuższych przedziałach czasu. Po drugie, w Polsce więcej oporów środowiskowych wzbudza „pokazywanie palcem” konkretnych sytuacji niż bezpieczne (i oportunistyczne) poruszanie się w kręgu abstrakcyjnie ujętych norm generalnych;
 - każda dyskusja na tematy etyczne bywa niebezpiecznie bliska moralizatorstwu. Tego za wszelką cenę należałoby unikać, jako drogi prowadzącej do konfliktów aksjologicznych, w gruncie rzeczy nierozwiązywalnych, a zaostrzających konflikt. Bardziej pragmatyczne wydaje się więc podejście „techniczne”: jak zapewnić współistnienie w publicznej przestrzeni różnym aksjologiom, bez ich dyskredytacji;
 - pisząca te słowa mówi jako profesor-członek społeczności naukowej, nie zaś jako profesor-ekspert w dziedzinie etyki. Dzieli się zatem własnymi, niejako prywatnymi wątpliwościami;
 - ostatnie zastrzeżenie wstępne wiąże się z tym, że autorka jest prawnikiem. Ta zaś dziedzina jest w publicznym dyskursie przedmiotem szczególnej manipulacji z podtekstem etycznym. Prawo jest bowiem instrumentem i nośnikiem wdrażania projektów aksjologicznych i inżynieryjno-społecznych. Inaczej mówiąc: dyskusja społeczna na jakikolwiek temat dochodzi z reguły do kwestii: „trzeba zmienić prawo lub praktykę jego stosowania” – w imię realizacji wartości czy programów, których dyskurs dotyczy. Dla naukowca będącego prawnikiem dyskusja o etycznych problemach udziału w dyskursie publicznym toczy się zatem na dwóch płaszczyznach. Jedna to płaszczyzna merytoryczna: nauowiec-prawnik wypowiada się o treści samego projektu legislacyjnego jako takiego, tak, jak inni naukowcy. Zarazem jednak (jednocześnie lub rozłącznie) prawnik, zabierając głos w sprawach publicznych, może działać na „metapłaszczyźnie” gdzie ten sam

naukowiec-prawnik występuje jako ekspert co do sposobu posługiwania się prawem. Powstają tu szczególne problemy etyczne, mało dostrzegane, o których będzie mowa niżej, w pkt 9.

- 3) Zewnętrznym objawem „bycia naukowcem” jest tytułatura, świadcząca o zdobyciu stopnia czy tytułu naukowego. Wyznacza ona dla naukowca status osobowy. Jednocześnie jednak tytułatura stosowana w publicznym dyskursie służy jako „znak legitymacyjny”, oznaczający, że posiadacz tytułu jest ekspertem w dziedzinie, w jakiej uzyskał tytuł. Występowanie w publicznym dyskursie z użyciem tytułatury samo w sobie nic jednak nie mówi o tym, jaką rolę pełni ona w konkretnym wypadku. Łatwo tu zatem o manipulacje (celowe i przemilczenia), których (do których) może dopuścić zarówno sam uczestnik dyskursu, jak i media, za których pośrednictwem odbywa się ów dyskurs. Ta konfuzja jest objawem i źródłem etycznych nadużyć udziału naukowca w dyskursie publicznym.
- 4) Na tę konfuzję nakłada się druga, związana z kwestiami afiliacji (jako elementu statusu osobowego) i reprezentacji (występowania z upoważnienia macierzystej placówki).
- 5) W warunkach niskiego poziomu dyskursu publicznego i wysokiego stopnia występujących w nim manipulacji należałoby sugerować, aby użycie tytułatury w dyskursie publicznym cechowało się przejrzystością i staraniem (ze strony uczestnika dyskursu), a unikaniem wskazanych obu postaci dwuznaczności, nawet gdyby manipulacja miała pochodzić „z zewnątrz”, od mediów czy polityków.
- 6) W dyskursie społecznym w Polsce, w każdej dziedzinie, często i łatwo żąda się użycia „środków mocnych” (stosowanie kar, karanie dyscyplinarne) w wypadku, gdy udział w dyskursie wydaje się nie odpowiadać standardom. To samo dotyczy dyskursu z udziałem naukowców. Tu mocno należy podkreślić, że poprawności standardów w zakresie korzystania z wolności słowa w sposób etyczny nie osiągnie się przez sięgnięcie do „środków mocnych”: karania i postępowania dyscyplinarnego. Użycie tych środków jest więc po prostu kontrproduktywne. Co więcej, realizacja takiego radykalnego postulatu stoi w opozycji do potrzeby wystrzegania się „efektu mrozącego” stosowanych sankcji. Uciekając się do metafory schillerowskiej, osiągnięcie pokoju może być spokojem cmentarzyska. Wolność słowa *versus* ochrona prywatności wymaga szczególnej pieczołowitości w wyważaniu proporcji ochrony obu wartości. Nadużycia wolności słowa należy więc ujawniać i piętnować słowem, nie sankcją prawną. A jeżeli już do sankcji w ogóle dochodzi, nie należy karać nadużycia wolności słowa karą pozbawienia wolności. Raczej wskazana jest sankcja pieniężna, i to raczej wymierzana w postępowaniu cywilnym, jako odszkodowanie czy zadośćuczynienie, a kara w postępowaniu karnym. Zresztą w tym zakresie ogólny standard Europejskiej Konwencji o Podstawowych Wolnościach i prawach czło-

wieka jest jasny; Polska ma w praktyce (także, niestety sądowej, nie wspominając o mediach i dyskursie publicznym) trudności w posługiwaniu się tym standardem na co dzień.

- 7) Jeżeli naukowiec w dyskursie publicznym mówi głupstwa, jeżeli wykracza poza granice kompetencji eksperckiej, jednocześnie wspierając się tytułaturą i w ten sposób dokonuje manipulacji znaczeniem swej wypowiedzi – należy to ujawniać i krytykować. Nie jest to jednak domena postępowania karnego czy dyscyplinarnego. Jest inaczej, gdy wypowiedzi w dyskursie naruszają normy powszechne (np. *hate speech*, naruszanie prawnie chronionej prywatności czy dóbr osobistych innych osób). W tym zakresie naukowcy podlegają identycznym zasadom jak inni uczestnicy dyskursu, z tym że fakt, iż naruszenia dokonał naukowiec, a więc człowiek uważany (uważający się) za eksperta, może mieć znaczenie dla oceny bezprawności, wagi czynu czy stopnia winy. Naruszenie praw i prywatności innych osób jest raczej domeną odpowiedzialności cywilnej, a nie karnej. Domeną postępowania dyscyplinarnego może być natomiast wykorzystanie dyskursu przez naukowca w celach frywolnych (znany kazus profesora, który przyznał się do celowego blefu uczynionego publicznie w mediach i mówienia nieprawdy w dyskusji na zapalny temat społeczny); uporczywe i świadome używanie tytułatury w celu manipulacyjnym przez samego dyskutanta. Tu należałoby dążyć do zgromadzenia stosownej sytuacyjnej bazy danych, co ułatwiłoby decyzję o ewentualnym uruchomieniu odpowiedzialności dyscyplinarnej. Chodzi o unikanie jednoczesnego „używania kilku kapeluszy” i żonglowanie nimi. Szczególnym wypadkiem jest używanie tytułatury przez polityków w wypowiedziach politycznych i korzystanie ze stanowiska politycznego oraz tytułatury w celu wzmocnienia pozycji politycznej.
- 8) Każdy (naukowiec też) ma pewną aksjologię. Z tego faktu nie należy jednak wyprowadzać wniosku (a taki bywa czasami wyprowadzany), jakoby niemożliwe było zachowanie w przestrzeni publicznej w czasie dyskursu neutralności umożliwiającej współistnienie. W polskich warunkach chętnie bowiem stosuje się dyskredytację jako dążenie do eliminacji konkurenta, co jest najłatwiej stosowaną metodą osiągnięcia „współistnienia” różnych poglądów. Następuje bowiem wtedy monopolizacja pola sporu, osiągnięta wypchnięciem adwersarza z przestrzeni publicznej. Tymczasem problemem jest zbudowanie w dyskursie odpowiednio pojemnego wspólnego mianownika i dopuszczenie do głosu poglądów konkurujących aksjologicznie. Niebezpieczny z tego punktu widzenia jest zabieg proponujący zwężenie aksjologicznej podstawy, na której jest zbudowany publiczny dyskurs. Przykładem takiego zabiegu jest np. sugerowanie wąskiego ideowego fundamentu aksjologicznego konstytucji (np. prawo naturalne rozumiane zgodnie z nauką Kościoła katolickiego; albo tylko z jedną opcją aksjologiczno-ideową). Sugestię tę zgłaszała osoba występująca z ty-

tulaturą profesorską, piastująca zarazem funkcję wiceministra sprawiedliwości; problematyczne w tym wypadku były konfuzje związane z tytułaturą, pełnioną funkcją, nie zaś z treścią poglądu).

9) Szczególny problem powstaje dla naukowców-prawników. Specjalność naukowa czyni z nich ekspertów w zakresie używania prawa do regulacji zjawisk społecznych. Bywają w takim charakterze zapraszani jako eksperci w pracach legislacyjnych do oceny zgodności z prawem, konstytucją czy prawami człowieka poszczególnych projektów legislacyjnych. I tu dopatrzeć się można kilku typowych nieetycznych manipulacji czy błędów:

- Ekspertyzy pisane tak, że w ogóle brak jest wyводу czy argumentacji. Metoda: opis sytuacji czy problemu i potem natychmiast następuje zwrot „w tym stanie rzeczy należy” – i od razu wnioski. Taka ekspertyza jest po prostu niesprawdzalna z punktu widzenia rzetelności roboty. Nie ma znaczenia, że błąd jest powszechny (bo często spotykany np. w wyrokach sądowych, gdzie uzasadnienia są właśnie tak pisane)
- Dyskurs prawniczy-naukowy bywa tylko pretekstem dla dyskursu politycznego czy ideowego (nieumiejętność wyboru „właściwego kapelusza”, utrzymania się w roli). Oczywiście jest to trudne, ale nie niemożliwe (*vide* wyżej, pkt 3, 7, 8). Sąd może lubić chudy ser i skazywać mleczarkę fałszującą produkt stosunkowo łagodniej, z uwagi na własną aksjologię – ale w granicach przysługujących sądowi sytuacyjnych luzów decyzyjnych i interpretacyjnych, nie zaś *praeter* czy *contra legem*.

ANDRZEJ BRONK

Uczony w przestrzeni publicznej: prawo i obowiązek

1. Na temat roli intelektualistów w kulturze oraz ethosu i odpowiedzialności uczonych w przestrzeni publicznej napisano wiele i fundamentalnie¹. Na gruncie polskim należą tu m.in. wypowiedzi M. Bajer, J. Brzezińskiego, J. Goćkowskiego, M. Grabskiego, T. Filka czy R. Michałka². Przy tak „popularnym” temacie łatwo więc o powtarzanie truizmów

¹ Etyce badań naukowych poświęcony jest cały numer „Ethosu” (11:1998 nr 4, red. A. Lekka-Kowalik).

² M. Bajer, *Urząd i kawiarnia*, „Pauza” 2011 nr 123 s. 2; J. Brzeziński, *Metodologia badań psychologicznych*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN 2006; J. Goćkowski, *Ethos nauki i role uczonych*, Kraków: Wydawnictwo i Drukarnia Secesja 1996; M. Grabski, *Uczciwość i wiarygodność nauki. Praktyka*, „Nauka” 2009 nr 2 s. 37-59; T.J. Filek, *Filozofia odpowiedzialności XX wieku*, Kraków: Wyd. Znak, 2003. R. Michałek, *Granice wolności i odpowiedzialności uczonego*, „Nauka” 2008 nr 3 s. 149-154.

i wyważanie otwartych drzwi³. Moja wypowiedź nie jest wprost odpowiedzią na wyjściowe pytania naszego spotkania, ani skierowana na rozpatrywanie konkretnych przypadków udziału uczonych w debatach publicznych, lecz dotyczy problemów, które rodzi występowanie ludzi nauki w gremiach i mediach publicznych.

W odbiorze publicznym naukowcy, zwłaszcza gdy są profesorami uniwersyteckimi, cieszą się w Polsce prestiżem. Wykonywany przez nich zawód nadal traktuje się jako powołanie, uważa za „rzeczników prawdy” rzetelnie wykonujących swą profesję, także za wzorce osobowe, kierujące się przy poszukiwaniu prawdy intelektualną uczciwością. Z drugiej strony różnorodne procesy demokratyzacji życia społecznego pociągają za sobą spłaszczenie wyróżnionej dotąd społecznej pozycji uczonego. Do widocznego obniżenia rangi nauki i uczonych przyczyniają się głośne przypadki oszustw naukowych w postaci m.in. fikcyjnych danych naukowych⁴ czy publiczne, kompromitujące wystąpienia „dyżurnych” uczonych i ekspertów „wiedzy wszelakiej”. W fakcie obecności uczonych w sferze publicznej można się także doszukać próżności, nieobecnej środowisku naukowemu. Naturalnym środowiskiem naukowca jest obszar teorii i uczelni – biblioteka, laboratorium i sala wykładowa – a nie szeroko rozumiana sfera polityki, na temat której posiada przeważnie ograniczoną wiedzę. Uczonemu, którego właściwym polem oddziaływania jest uczelnia, po prostu może imponować zaproszenie w roli eksperta do politycznych gremiów doradczych.

Jednym z przejawów obniżenia rangi naukowców jest obecna terminologia administracyjna, dla której jest on (tylko?) pracownikiem naukowym obok innych grup pracowników uniwersyteckich. Charakteryzując, jak powinny funkcjonować polskie uczelnie wyższe, rozporządzenia i Biuletyny MNiSW posługują się określeniami ze świata biznesu, mówiąc o zasobach ludzkich, zawodzie naukowca i karierze naukowej. Już nie powołanie, realizowane w „świątyniach wiedzy”, za które od czasu średniowiecza uchodziły uniwersytety, lecz zawód skierowany na pomnażanie „dobrostanu i majątku powszechnego”, realizowany na uczelniach wyższych, pojmowanych na sposób przedsiębiorstw generujących zyski. Zredukowany do trybiku w fabryce dyplomów naukowiec to ten, któremu się powiodło, bo potrafi uczestniczyć w postępie naukowym, umiejętnie przekształcając wiedzę w produkt handlowy⁵.

³ A. Bronk, *Odpowiedzialność uczonych: uwagi metodologa*, [w:] *Odpowiedzialność uczonych*, Warszawa: Fundacja na rzecz Nauki Polskiej 2009 s. 85-94.

⁴ Głośne ostatnio przypadki to Woo Suk Hwang, koreański uczony, pracujący nad klonowaniem terapeutycznym, czy psycholog społeczny Diederik A. Stapel, fałszujący swe dane i wyniki. Jak pokazują badania, znaczna część naukowców przyznaje się do stosowania podobnie fikcyjnych praktyk, i co gorsza, są one coraz powszechniej akceptowane.

⁵ Sheldon Krimsky, *Nauka skorumpowana? O niejasnych związkach nauki i biznesu*, Warszawa: PIW 2006.

2. Odpowiedź na pytanie o rolę uczonego w debacie publicznej wymaga uwzględnienia znaczenia wchodzących w grę terminów. Mało precyzyjne określenie debata⁶ publiczna oznaczać może dyskusję, uważaną za publiczną już to ze względu na swój temat/przedmiot, gdy dotyczy problemów interesujących i ważnych dla ogółu społeczeństwa, już to dlatego, że toczy się w przestrzeni publicznej. Obecność tutaj uczonego może dziś przybierać różne formy w zależności od medium: radio, telewizja, sieci internetowe (wortal, blogosfera), komunikatory (Facebook, Tweeter). Również cele debaty publicznej bywają różne. W wymiarze poznawczym służyć powinna zrozumieniu i uzgodnieniu (niekiedy ujednoczeniu) stanowisk teoretycznych i praktycznych lub – jak podkreśla H.-G. Gadamer – co najmniej zdaniu sobie sprawy z powodów odmienności stanowisk zajmowanych przez strony.

Nazywanie kogoś uczonym jest sprawą urobionych tradycją przyzwyczajęń językowych⁷. Ani w nauce, ani w filozofii nauki (metodologii), a tym bardziej w języku potocznym termin uczonego, używany niekiedy zamiennie z terminem naukowiec i badacz, nie ma ustalonego znaczenia. Kategoria uczonego, utożsamiana potocznie z profesorem uniwersyteckim, może być pojmowana poszerzająco lub zawężająco. Niekiedy (szeroko) przezuczonych rozumie się intelektualistów, którym przypisuje się szczególną rolę w pouczaniu społeczeństwa⁸, kiedy indziej (zawężająco) odmawia się tego określenia filozofom lub teologom. Generalnie chodzi o ludzi nauki, tj. tych, którzy prowadzą badania naukowe. Obejmuje wielorako (metodologicznie, filozoficznie, światopoglądowo, ideologicznie, politycznie) zróżnicowaną grupę ludzi⁹. Polski termin uczonego dziedziczy znaczenie terminu nauka, który w języku polskim funkcjonuje szeroko, pozwalając na nazywanie nauką także dyscyplin humanistycznych oraz filozofii i teologii¹⁰. Podobnie,

⁶ „Debata”, „debatować” (fr. *debattre*, ang. *battle*), „walczyć o coś lub z czymś”.

⁷ W sensie zbliżonym do polskiego „naukowiec” funkcjonuje niemiecki *Gelehrter i Wissenschaftler* (*Jemand, der über eine abgeschlossene Hochschulbildung verfügt und im Bereich der Wissenschaft tätig ist* – „Duden”). Język angielski zna *scientist, scholar* i *erudite*.

⁸ *Słownik języka polskiego* W. Doroszewskiego (t. III, 1961, s. 232), odnotowuje, że intelektualista jest to „człowiek odznaczający się kulturą umysłową, przewagą intelektu nad temperamentem; pracownik umysłowy”.

⁹ Przykładowo Marian Mazur wyodrębnia w grupie naukowców: pionierów, burzących dotychczasowe paradygmaty i teorie oraz tworzących nowe, zaskakujące idee i koncepcje; klasyków, strzegących dotychczasowego ładu w nauce i wyjaśniających nowe fakty za pomocą znanych praw i teorii; stymulatorów, którzy z reguły nie prowadzą własnych badań, za to dostrzegają nieznanne kierunki badań i nowe problemy; erudyty, poddających krytycznej ocenie cudze pomysły i wprowadzających ład w chaos faktów i koncepcji (za: Józef Koziellecki, *Nauka i osobowość*, Warszawa: Omega 1979 s. 45 n.).

¹⁰ Wszechstronną, nadal aktualną analizę terminu nauka podaje monografia Stanisława Kamińskiego, *Nauka i metoda. Pojęcie nauki i klasyfikacja nauk, Pisma wybrane*, t. 4, do druku przygotował A. Bronk, Lublin [1961] 1992⁴ s. 11-46.

jak trudno podać ogólną definicję nauki¹¹, tak niełatwo o definicję uczonego, która wyrażałaby to, co istotne, tj. wspólne wszystkim ludziom, obejmowanym tą nazwą, pozwalając równocześnie na wydzielenie jej spośród innych „śmiertelników”¹².

3. Wysoki, poznawczy i społeczny status naukowców, wypowiadających się niekiedy w sprawach wykraczających poza zakres ich własnej specjalności, a nawet samej nauki, ukształtował się w czasach, kiedy oni sami lub inni uważali ich za „jedynych wiedzących”. Zakładano, że nauka – najpierw jako filozofia, potem teologia, a w czasach nowożytnych nauki empiryczne – stanowi podstawowe, jeżeli nie jedyne źródło wiedzy o świecie, a jej poszukiwanie jest właściwym zadaniem uczonych¹³. Przypisywano im także zadanie krzewienia kultury życia i kształtowanie sposobu funkcjonowania społeczeństwa w oparciu o model racjonalności, wzorowany na naukowej racjonalności. W *Polityce* Platon filozofom przypisał rolę przywódczą przy urządzaniu państwa, a w czasach Oświecenia teoretyczne podstawy pod społeczeństwo demokratyczne kładli angielscy, francuscy i niemieccy filozofowie. Uważając naukę za jedyne źródło prawdy o świecie, a metodę naukową jako niezawodny sposób uzyskiwania wiedzy pewnej, dziewiętnastowieczny pozytywizm i scjentyzm wysoko ustawił społeczny i moralny prestiż naukowca, obciążając go odpowiedzialnością za poznawcze rezultaty działalności naukowej, a potem ich praktyczną aplikację.

Zasadnicze zmiany w sposobie postrzegania epistemologicznej i społecznej roli nauki oraz naukowców przyniósł wiek XX. Dostrzeżono, że wprawdzie dzięki nauce wiemy coraz więcej i bardziej zasadniczo, równocześnie jednak przestano wierzyć, że zalew informacji złoży się na systematyczną wiedzę pewną i ostateczną. Wskutek powszechnej edukacji, demokratyzacji środków przekazu oraz łatwo dostępnej informacji (Internet, Wikipedia), wielkie idee, rozpalające kiedyś umysły i motywujące do czynów, stały się jakby mniej obecne, kiedy każdy niemal może się poczuć ekspertem w dowolnej dziedzinie. Bezsprzeczny na wielu obszarach postęp poznawczy nie zaowocował ani uznanymi autorytetami (naukowymi)¹⁴, ani „teoriami wszystkiego” (Stephen Hawking), ani jednolitym światopoglądem (naukowym), nie mówiąc już o wspólnym systemie wartości. Pojawił się „uczony medialny”, wypowiadający się na blogach i Facebooku, w pra-

¹¹ S. Kamiński (dz. cyt. s. 14 n.) wymienia trzy typy desygnatów nazwy nauka: forma poznania pewnego typu (język, metoda, instytucja), pewnego typu poznanie (odkrywcze lub nieodkrywcze) oraz dziedzina kultury. Wyróżnia także naukę jako zbiór twierdzeń i praktykę społeczną.

¹² Definicja nauki, uwzględniająca wszystkie typy nauk, będzie z konieczności ogólnikowa i treściowo uboga (S. Kamiński).

¹³ „Zadaniem nauki jest poszukiwanie prawdy i tworzenie wiedzy o otaczającej nas rzeczywistości. Stąd też nauka sama w sobie, poprzez zaszczytny cel, a nie przez stosowanie – jest etyką (R. Michałek dz. cyt. s. 149).

¹⁴ Nad zanikiem autorytetu intelektualistów we współczesnym świecie zastanawia się m.in. Frank Furedi, *Gdzie się podziali wszyscy intelektualiści?*, tł. pol. K. Makaruk, Warszawa: PIW 2008.

sowych felietonach, wywiadach „rzekach”, programach telewizyjnych i radiowych. Na negatywny obraz naukowców złożyły się też przypadki zwyrodnienia nauki w społeczeństwach totalitarnych przez konformistycznych naukowców, dostarczających usłudze pseudonaukowych argumentów na wsparcie zbrodniczych systemów politycznych. Jaskrawym przykładem stała się „nauka o rasach” (*Rassenkunde*), usprawiedliwiająca supremację jednej grupy ludzkiej („białej rasy”) nad inną¹⁵ oraz eksterminację „gorszych ludzi” (Holokaust).

4. Potrzeba, a nawet uzurpacja przez uczonych prawa do zabierania głosu w debacie publicznej, wywodzi się z czasów, kiedy zaliczano ich do warstwy intelektualnie i moralnie wyróżnionej, nazywając dostojnie (od czasów pozytywizmu) „kapłanami nauki”. Od chwili powstania filozofii dostrzegano związki logosu i etosu, nauki (jako *epistémé*) i moralności. Traktując uczonych jako elitę społeczeństwa, wyróżnioną pod względem etycznym, przypisywano im także szczególną misję moralną¹⁶. Zakładano, że odznaczając się sprawnością intelektualną (będąc autorytetem naukowym), będą się też cechowali większą wrażliwością etyczną (autorytetem moralnym). Czy można zatem mówić o osobnym etosie uczonych?¹⁷ Z pewnością nieprzyznawanym automatycznie przez sam fakt przynależności do tej grupy społecznej. Pogląd, że wiedza na temat dobra i zła automatycznie poniekąd przekłada się na moralnie poprawne działania, znany jest filozofii jako błąd intelektualizmu etycznego (Sokrates). Skądinąd trudno przypuszczać, by stwierdzany w społeczeństwach zachodnich kryzys moralny omijał uczonych¹⁸ i dlatego niepokój wywołują coraz częstsze przypadki naruszania uniwersalnych i partykularnych norm etycznych przez ludzi nauki¹⁹.

Warto mieć przed oczyma przypomniane przez J. Bocheńskiego²⁰ rozróżnienie autorytetu deontycznego i epistemicznego. Ostrzeżenie przed nieuzasadnionym przenoszeniem

¹⁵ Jak się dowiadujemy ostatnio, renomowani psycholodzy amerykańscy pomagali w rozwijaniu technik przesłuchań i metod torturowania przy przesłuchiowaniu terrorystów (Jana Hauschild, *Wie US-Forscher der CIA halfen: Die Folter-Psychologen*, <http://www.spiegel.de/wissenschaft/mensch/cia-bekam-hilfe-von-us-forschern-die-folter-psychologen-a-1008085.html> (19.12.14).

¹⁶ „Można zapomnieć zdobywcy grabież i nawet gwałt, ale nie można przebaczyć uczonemu, jeżeli próbuje to naukowo uzasadnić” (Ludwik Hirschfeld; za: R. Michałek dz. cyt. s. 152).

¹⁷ S. Amsterdamski, *Etos uczonych: kilka pytań*, [w:] tenże, *Tertium non datur*. Szkice i polemiki, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN 1994 s. 147-157.

¹⁸ Por. Agnieszka Lekka-Kowalik, *Odkrywanie aksjologicznego wymiaru nauki*, Lublin: Wydawnictwo KUL 2008.

¹⁹ Jak zauważył prof. Jan Woleński na posiedzeniu Komitetu Etyki w Nauce (10.10.2013), brak jest systematycznej wiedzy o postawach moralnych polskich naukowców. Por. Alexander Kohn, *Falszywi prorocy. Oszustwo i błąd w nauce i medycynie*, przekład Piotr Zaborowski, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN 1996.

²⁰ Józef M. Bocheński, *Co to jest autorytet?* [w:] tenże, *Logika i filozofia. Wybór pism*, tł. pol. Jan Parys, Warszawa: PWN 1993 s. 187-324 (oryg. niem. 1974).

autorytetów, tj. przypisywaniem sobie kompetencji poza własnym obszarem badawczym. Zalicza mieszanie autorytetu deontycznego (moralnego) szefa z autorytetem epistemicznym (znawcy) do szczególnie niebezpiecznych dla życia publicznego zabobonów. „Wielu ludzi mniema, że kto ma władzę, a więc jest autorytetem deontycznym, jest tym samym autorytetem epistemicznym i może pouczać podwładnych”²¹. Wśród zabobonów, związanych z autorytetem, umieszcza także przekonanie, że „istnieją autorytety [...] powszechne, to jest ludzie, którzy są autorytetami we wszystkich dziedzinach. Tak oczywiście nie jest – każdy człowiek jest najwyżej autorytetem w jakiejś określonej dziedzinie, albo paru dziedzinach, ale nigdy we wszystkich”²².

5. W jakiej sytuacji uczeni są szczególnie kwalifikowanymi (kompetentnymi) uczestnikami debaty publicznej, uprawnionymi, a niekiedy nawet zobowiązanymi do zabierania głosu w zasadniczych sprawach publicznych? Zapraszani są tu z wielu powodów: dla swej fachowej wiedzy, ale także pozycji (instytucjonalnej, ideologicznej, religijnej, partyjnej) lub kwalifikacji moralnych. Nawet jednak nie biorąc udziału w debatach publicznych, mogą wywierać wpływ na sferę publiczną oraz sposób myślenia i zachowania ludzi (*casus* Darwina i Freuda). Wagę wypowiedzi uczonego nadają splecione zwykle ze sobą dwie sytuacje: pozycja naukowa (dorobek ściśle naukowy) oraz tytułatura, związana z instytucjonalną afiliacją. W pierwszym przypadku uczonego występuje poniekąd we własnym imieniu, w drugim – podpierając się instytucją, zwłaszcza kiedy deleguje jego wystąpienie. Nie ma zresztą powodu, by ukrywał swą instytucjonalną przynależność, skoro dla niej jest zapraszany do zabrania głosu niekiedy w sprawach *per se* wykraczających poza zakres jego bezpośredniej naukowej kompetencji. Inna rzecz, że kiedy głos jego jest traktowany jako wyraz opinii wysuwającego go środowiska, nie ma pełnej swobody w wyrażaniu własnych poglądów, jak to np. widać w przypadku przedstawicieli uczelni konfesyjnych. Każda debata, zwłaszcza publiczna, z samej swej natury jest zideologizowana, chociażby dlatego, że jej uczestnicy – kierując się interesem – optują równocześnie za określonymi wartościami (światopoglądowymi).

W debatach publicznych uczonego występuje zwykle w kilku rolach: autorytetu (naukowego, moralnego, społecznego), kompetentnego źródła informacji na temat pewnej sytuacji, oceniającego daną sytuację i dostarczającego praktycznych sposobów radzenia

²¹ Józef M. Bocheński, *Sto zabobonów. Krótki filozoficzny słownik zabobonów*, Paryż: Instytut Literacki 1987 s. 21.

²² Tamże. „Kiedy na przykład grono profesorów uniwersyteckich podpisuje zbiorowo manifest polityczny, zakłada się, że czytelnicy będą ich uważali za autorytety w polityce, którymi oni oczywiście nie są – a więc coś w rodzaju uznania autorytetu powszechnego uczonego. Bo ci profesowie są zapewne autorytetami w zakresie rewolucji francuskiej, ceramiki chińskiej albo rachunku prawdopodobieństwa, ale nie w dziedzinie polityki – i nadużywają przez takie oświadczenia swojego autorytetu” (tamże).

z nią sobie. Niekiedy obecność uczonego jest czysto ornamentacyjna, służąc uatrakcyjnieniu debaty. Kiedy głos (autorytet) uczonego pomyślany jest jako legitymizacja pewnego stanowiska politycznego (religijnego), dobierany jest nie tyle ze względu na swą wiedzę zawodową, ile opcje ideologiczne lub wprost swą przynależność instytucjonalną (partyjną). Inna jeszcze sytuacja ma miejsce wówczas, kiedy uczonego wykorzystuje swą pozycję w nauce do robienia własnej kariery politycznej. Jak zauważa A. Zoll²³, problemem coraz częstszym „w polskim środowisku naukowym jest korzystanie, a niekiedy wykorzystywanie autorytetu naukowego do wypowiedzania się poza obszarem własnej specjalności”. Nie chodzi naturalnie o wzbranianie naukowcom wypowiedzania się na tematy społeczno-polityczne. Przysługują im tu takie same prawa, jak innym członkom danej wspólnoty. Rzecz w tym, by nie zajmowali głosu w sprawach, wymagających „wysokiej wiedzy specjalistycznej”, gdy nie mieszczą się one w „zakresie ich kompetencji”. Prowadzi to, „nie tylko do kompromitacji wypowiadających się profesorów, lecz również godzi w społeczny autorytet i wiarygodność całego środowiska naukowego” (tamże s. 181-182). Sytuacja ulega dodatkowej komplikacji wówczas, gdy uczonego wykorzystuje swą pozycję naukową (powołując się na dane naukowe) w dyskusjach światopoglądowych, gdzie z natury rzeczy rolę odgrywają czynniki, z trudnością poddające się obiektywnej kontroli.

6. Jako obywatel uczonego funkcjonuje nie tylko w strukturach akademickich, lecz społecznych. Kiedy wypowiada się w sprawach publicznych, niekoniecznie wiąże się to z jego prerogatywami moralnymi, lecz zawodowym przygotowaniem. Jego publiczne oddziaływanie obejmuje dwa obszary: ogólny, kiedy swą działalnością naukową przyczynia się do krzewienia takich wartości kulturowych, jak racjonalne myślenie lub postawa tolerancji, oraz szczegółowy, gdy zabiera głos w sprawie aktualnych problemów, jak kara śmierci, tortury, świeckość państwa, klonowanie czy zapłodnienie *in vitro*. Charakter jego udziału w debacie publicznej zależy od tego czy występuje jako autorytet deontyczny, czyli z mandatu określonego środowiska naukowego (ideologicznego, politycznego), czy jako autorytet epistemiczny, gdy przedstawia i broni poglądów, odwołując się do posiadanej przez siebie wiedzy naukowej.

Nie wydaje się, by uczonego jako uczonego miał szczególne prawa do urządzania sfery publicznej. Można być wybitnym uczonego i niewiele mieć do powiedzenia w sprawach publicznych, co więcej, głosić niekiedy poglądy mało rozsądne lub wręcz groźne dla społeczeństwa. Historia zna wiele przykładów negatywnego oddziaływania intelektualistów, sankcjonujących bezprawie, zbrodnie i krzywdę ludzką. Z drugiej strony, jako członek własnej wspólnoty, uczonego ma nie tylko prawo, lecz niekiedy wręcz obowiązek

²³ A. Zoll, *Sprawozdanie przewodniczącego Komisji do spraw Etyki w Nauce z działalności komisji w 2013 r.*, „Nauka” 2014 nr 3 s. 181-186.

zabrania głosu, jeżeli może w ten sposób zapobiec bezprawiu lub poprawić kondycję i sposób funkcjonowania społeczeństwa, bez uzurpowania sobie jednak prerogatyw poza tymi, jakie wynikają z jego profesji, kiedy występuje np. jako ekspert w pewnej dziedzinie. Jego głos waży tyle, ile przytaczane przez niego argumenty, a nie wynika z samego faktu przynależności do społeczności naukowej, chociaż skądinąd chciałoby się wierzyć, że z racji swego przygotowania intelektualnego rzeczywiście może mieć coś rozsądnego do zaproponowania.

PIOTR KIERACIŃSKI

Debata publiczna ma wiele twarzy

Na własny rachunek

Debata publiczna ma wiele twarzy. Niektóre z nich są znane, bo same się eksponują, narzucają, wpychają do naszego życia przez monitory telewizorów, czasopisma, audycje radiowe. Inne są mniej widoczne, choć też znacząco, może nawet bardziej niż media, wpływają na to, co i jak robimy, na kształt życia społecznego i gospodarkę. Nazwiska uczestników tych pierwszych – debat medialnych – są powszechnie znane, a oni sami rozpoznawani na ulicach. O uczestnikach tych drugich niemal się nie mówi, mało kto zna ich nazwiska, a już ich twarze po prostu nikogo nie interesują. To wszelkiego rodzaju eksperci i doradcy.

A co z uczonymi? Gdzie tu dla nich miejsce? Choć wydawałoby się, że znajdują się głównie w tej drugiej grupie, faktycznie bardzo często słyszymy w dyskusji radiowej czy widzimy w popularnym programie telewizyjnym, że uczestnik jest doktorem, profesorem. Podaje się nawet ich afiliacje zawodowe: „z takiej, a takiej uczelni, instytutu”. Ma to wzmocnić przekaz ich słów, potwierdzić jego znaczenie i wagę.

Potrzeba uczonych w debacie publicznej wydaje się być sprawą oczywistą. Tak, powinni w niej brać udział. Trudno wyobrazić sobie, by w gronie ekspertów od tworzenia prawa zabrakło prawników, a od rozwoju sieci dróg – specjalistów od transportu czy budownictwa drogowego. Społeczeństwo spodziewa się, że pewne kwestie zostaną w sposób klarowny i sensowny przedstawione, wyjaśnione przez badaczy zajmujących się daną dziedziną, zanim znajdą wyraz w aktach prawnych. Uczony to nie pierwszy lepszy zawód, ale profesja szczególna. Naukowcy darzeni są przez społeczeństwo zaufaniem. Profesor cieszy się dużym prestiżem. Nie da się też ukryć, że badacze zwykle są dobrymi specjalistami w dziedzinach, którymi zajmują się naukowo. Sporo też podróżują i znają rozwiązania różnych kwestii, stosowane w innych krajach. Wydaje się zatem, że ich udział w debacie publicznej jest niezbędny i może mieć ogromne pozytywne znaczenie dla rozwiązań wprowadzanych do praktyki społecznej czy gospodarczej.

Jednak uczony w debacie publicznej występuje w różnych rolach. I nie ma się co dziwić. Każdy badacz to nie tylko reprezentant swojej profesji, ale także obywatel. Ma więc prawo brać udział w debacie publicznej także w tej roli. W obu tych rolach – ekspertów i obywateli – uczeni mogą występować równocześnie. Podobnie w obu wspomnianych typach debaty: medialnej i eksperckiej poza zasięgiem kamer i mikrofonów.

Nie wydaje się, żeby problemem był udział uczonych w debacie w charakterze ekspertów projektujących czy opiniujących rozwiązania prawne i organizacyjne. Nie ma wątpliwości, że jest to dla nich właściwe miejsce, niezależnie od tego, czy znajdują się w nim w wyniku przyjęcia wystosowanego do nich zaproszenia lub też „wyekspediowania” przez proszoną (np. przez jakieś ministerstwo) o pomoc jednostkę naukową.

Uczeni mogą też występować w debacie tego rodzaju, tj. jako eksperci w swoich specjalnościach badawczych, z własnej inicjatywy. Taki charakter mają np. stanowiska, uchwały i opinie komitetów Polskiej Akademii Nauk. Szkoda, że te głosy są bardzo słabo słyszane w państwowych i samorządowych gremiach decyzyjnych. Bywa też, że grono osób, badaczy z danej specjalności, ale niezrzeszonych w żadnej formalnej strukturze, z własnej inicjatywy przedstawi jakąś opinię czy stanowisko. Zdarza się to jednak rzadko.

Częściej spotykamy się z listami otwartymi uczonych w różnych sprawach, nie zawsze dotyczących nauki i wymagających ich naukowej kompetencji. Biorą oni udział w debacie publicznej jako obywatele, ale jednak wspierają się autorytetem swoich stopni naukowych i tytułów, często także autorytetem, a przynajmniej nazwą instytucji badawczych, z którymi są związani. Osobiście nie widzę żadnych przeciwwskazań do takiej aktywności uczonych. Wprost przeciwnie. Wydaje się, że jako osoby obdarzone szczególnym darem uważnej obserwacji świata, mogą one do debaty publicznej wnieść więcej niż inni jej uczestnicy, którzy nie są wyćwiczeni w systematycznym, krytycznym namyśle i takimż formułowaniu wniosków. Owe listy zwykle publikowane są w mediach.

I w ten sposób dotarliśmy do najbardziej kontrowersyjnej formy udziału uczonych w debacie publicznej, czyli udziału w audycjach radiowych i telewizyjnych, lub wypowiedziach prasowych. Także tu uczeni występują w dwojakiej roli: jako obywatele i jako eksperci. Pominę kwestię ich udziału w debacie z racji faktu bycia obywatelem. Mają do tego prawo, a wątpliwości budzi jedynie sposób posługiwania się w tym kontekście stopniami i tytułami naukowymi, a zwłaszcza wskazywanie swej afiliacji zawodowej, czyli faktycznie próby podpierania swoich wypowiedzi autorytetem instytucji. Nie jest to jednak naganne, bo cóż znaczy podanie miejsca pracy? Trzeba zauważyć, że wielu utytułowanych polityków nigdy nie jest przedstawianych w mediach jako doktorzy czy profesorowie. Zwykle dotyczy to tych, którzy wcześniej, tj. zanim zostali politykami, nie występowali w mediach, a później – już jako politycy – zdobyli stopień naukowy i nawet związali się z uczelniami zawodowo, pozostając aktywnymi w polityce. Do innych z kolei stopień naukowych bądź tytuł profesora niejako „przyłgnął” i jest podawany, choć fak-

tycznie reprezentują w danej chwili bardziej określoną partię czy opcję polityczną niż swoją specjalność badawczą.

Bywa często, że uczeni występują w mediach jako zaproszeni eksperci. To jak najbardziej pozytywne zjawisko. Któż, jak nie badacze, ma społeczeństwu wyjaśniać skomplikowane zagadnienia gospodarcze czy problemy społeczne i wskazywać sposoby ich rozwiązania? Jednak jest różnica między ekspertem a „ekspertem medialnym”. To język, jakim komunikują oni wyniki swych przemyśleń. Na użytek mediów i szerokich rzesz społeczeństwa badacz musi wypowiadać swoją opinię zupełnie inaczej niż na użytek organów władzy czy administracji. W pierwszym przypadku badacz występuje w roli eksperta-popularyzatora, który skomplikowane problemy przedstawia językiem popularnym, codziennym. Inaczej w przypadku ekspertyz i opinii dla organów władzy, gdzie wskazana jest większa specjalizacja i precyzja, a co za tym idzie bardziej techniczny język, który często nie byłby zrozumiały dla odbiorców popularnych mediów.

Warto przy okazji zwrócić uwagę na inicjatywę działów promocji, czy też rzeczników prasowych uczelni i instytutów, którzy wskazują mediom ekspertów z różnych dziedzin. Ma to zarówno postać publikowania list z nazwiskami i kontaktami ekspertów na stronach internetowych uczelni, jak też wskazywanie ekspertów stosownie do pojawiających się okoliczności, np. w sytuacjach społecznego napięcia, klęsk żywiołowych itp. Ekspert jest wówczas niejako „delegowany” do wypowiedzi przez swoją uczelnię. To bardzo sensowne przedsięwzięcie, pokazujące otwarcie środowiska naukowego na media oraz gotowość udziału w debacie publicznej jego kompetentnych przedstawicieli.

Stanowczo chcę podkreślić, że nawet jednak w takiej sytuacji, gdy to uczelnia wskazuje eksperta, w debacie publicznej uczony przede wszystkim reprezentuje siebie samego. Nawet jeśli podaje nazwę jednostki badawczej, w której jest zatrudniony, to nadal to on sam jest specjalistą, który wypowiada opinię czy przedstawia ekspertyzę na podstawie własnej wiedzy i doświadczenia i ewentualnie wystawia na szwank przede wszystkim swój autorytet. Aby traktować uczonego jako reprezentanta jednostki naukowej (uczelni czy instytutu), musi być on przez nią wyraźnie oddelegowany do udziału w debacie w jej imieniu, a fakt reprezentowania danej instytucji musi zostać wyraźnie podany. Musi paść wprost informacja, że doktor/profesor (wówczas stopień lub tytuł naukowy wydaje się niezbędny) taki i taki reprezentuje w tej debacie daną instytucję, wypowiada się w jej imieniu i przedstawia jej stanowisko. Dobrym i oczywistym przykładem takiej sytuacji są niektóre wystąpienia medialne prof. Wiesława Banysia, który wyraźnie zaznacza wówczas, że reprezentuje rektorów zrzeszonych w Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich i przedstawia ich wspólne stanowisko.

Udział w debacie publicznej niesie ze sobą ryzyko. Zdarza się, że uczeni są przez media wykorzystywani. Dziennikarze starają się uzyskać odpowiedź, która potwierdzi ich tezę, bądź stawiają uczonego twarzą w twarz z osobą, z którą nigdy nie zgodziłby się

wystąpić. Zdarza się też, że to uczonego chce wykorzystać media bądź do budowy swojego wizerunku, bądź do celów zupełnie innych, niżby na to wskazywała jego pozycja naukowa, np. traktuje wystąpienia medialne jako „odskocznnię” do polityki, ukrywając jednak ten cel przed dziennikarzem i publicznością, czytelnikami. Uczni w mediach potrafią pleść głupstwa. Pamiętajmy, że robią to na własny rachunek. Nie powinno się ich zatem karać za tego typu przewinienia.

Zdarza się, że grono ekspertów w najlepszej wierze przygotowujących na zlecenie jakiegoś organu władzy opinię lub projekt dokumentu zostanie zmanipulowane (oszukane co do celu pracy, którą się im zleca, lub kontekstu wykorzystania efektów ich pracy). Nawet najlepszym specjalistom przytrafiają się też zwyczajne pomyłki i błędy. Ekspert ryzykuje własnym autorytetem. Zdarzają się złe rzeczy. To jednak nie jest powód, żeby uczeni rezygnowali z udziału w debacie publicznej. Muszą w niej uczestniczyć, bo po prostu nie ma ich kto zastąpić.

Debata II. Etyczne aspekty rankingów w nauce

EWA OKOŃ-HORODYŃSKA

Wprowadzenie do debaty

Podjęliśmy temat trudny, delikatny, kontrowersyjny, starając się standaryzacji przypisać pojęcie etyczności. Czy to w ogóle możliwe? Co standaryzacja ma wspólnego z etycznością? Niestety ma, bo stoją za nią ludzie ze swymi emocjami dobrymi i złymi, z motywacjami, interesami. A jak wiadomo, interes wg A. Smitha raczej można łączyć z egoizmem. Ale rankingom przypisuje się też rolę porządkującą, racjonalizującą, choć i tu czyhają niebezpieczeństwa, bo przecież u podstaw rankingów leżą założenia, i wystarczy zmienić założenia, by wyniki się zdecydowanie zmieniły, a wtedy rankingi można też wykorzystać do systemowej manipulacji. W jednym więc zdaniu lokują się odpowiedzi na pytanie, czy w rankingach jest coś dobrego, a może złego? I czy jest najlepszym pomysłem poddawać rankingowaniu naukę? Wraz z rankingowaniem pojawia się standaryzacja i różne wymiary nauki. Einstein zapewne nie zmieściłby się w tej standaryzacji, skoro twierdził, że żadne jego odkrycie nie ma nic wspólnego z racjonalnością, nie dokonałby ich, gdyby się nią kierował. W tym kontekście rodzi się kolejne pytanie, czy taka zestandaryzowana nauka stanowi „impakt” dla innowacyjności, u podstaw której leży kreatywność? Standaryzacja jest przecież daleka od kreatywności; i choć od dawna wiadomo, iż wzrostu innowacyjności nie zapewni zarządzanie jakością dbającą wyłącznie o standardy, to system ten wprowadzany jest do edukacji i nauki. Jak widać,

przedmiot rankingowania w nauce wywołuje wiele pytań, pozwalam sobie więc na ich wyszczególnienie:

- 1) Czy jest coś złego w rankingach? A co jest dobrego?
- 2) Co przemawia za rankingami w nauce?
- 3) Czy standard jest dobry na wszystko – czy to tożsamość jakości ?
- 4) Czy wystandaryzowany profesor tworzy jeszcze naukę?
- 5) Jaka może być wartość dodana standardów w nauce?
- 6) Co z metodyczną poprawnością rankingowania, czy można zaufać twórcom rankingów, skoro jest ich wiele i wciąż powstają nowe?
- 7) Jak rankingowanie pomaga w konkurencyjności badań, jednostek badawczych, naukowców?
- 8) Czy można traktować rankingi jako współczesną formę dostarczania informacji zróżnicowanym grupom interesariuszy?
- 9) Czy na podstawie rankingów można opisać funkcjonowanie jednostek w nowoczesnym systemie badań i wyższej edukacji, skoro często są one odpłatne?
- 10) I może jeszcze, czy można osiągać lepsze rankingi przy aktualnym sposobie zarządzania uczelniami, określanym jako „demokracja akademicka będąca spółdzielnią promocji przeciętności i miernoty” (prof. Krzysztof Nawotka, konferencja NCN i PAN, „Finansowanie projektów badawczych w Polsce – teoria i praktyka, MCK, Kraków 19.10.2012)

Pan Prof. Marek Bryx, Pan Prof. Jerzy Brzeziński i Pan Prof. Jan Sadlak rozpoczynają naszą debatę i z pewnością nie są jednomyślni, czy dojdziemy więc do wspólnych konkluzji? Pewne jest jedno: dla przeciwników rankingowania nasza debata nie będzie pocieszająca – nie uda nam się bowiem zawrócić pędu standaryzacji, tym bardziej że biurokracji bardzo to odpowiada – wykonuje mniejszą pracę i nie ponosi odpowiedzialności za poziom nauki.

MAREK BRYX

Ranking naukowca

Na samym wstępie powiem, że nie jestem zwolennikiem rankingów w nauce. Dlaczego? Może jestem za stary, aby nadać za tego typu „innowacyjnością”? Skoro jednak wymyślam innowacyjne projekty i wygrywam je dla mojej uczelni, skoro modyfikuję programy zajęć dla studentów i nie potrafię powtórzyć dokładnie wykładu sprzed roku, tyle do niego dokładam nowych treści lub przykładów, to chyba jednak tak nie jest.

A może przyzwyczaiłem się do innego systemu i trudno mi się przestawić, bo jestem leniwy i zachowawczy? Chyba też nie, chociaż coś tu jest na rzeczy. Chodzi mianowicie

o to, czy innowacja w nauce, a ściślej dotycząca oceny naukowców, czyli ranking, tak jak każde nasze działanie ma sens. Czy jest na pewno konieczne i czy w rezultacie, przy zastosowaniu jakiegoś kryterium, jest lepiej czy gorzej. Jak zawsze w ocenie ważne jest to kryterium. Otóż, ja stosuję kryterium jedyne naprawdę nieodnawialnego zasobu, jakim jest czas, a który dla swojej ochrony nie ma żadnego programu europejskiego, żadnych misji czy organizacji pozarządowych itd. Rzecz w tym, że im człowiek jest starszy, tym bardziej racjonalnie chce wydatkować czas, którym jeszcze dysponuje, czy inaczej – który mu pozostał. Chciałby zrobić jeszcze coś ważnego, napisać znaczącą książkę, rozwiązać jakiś problem etc. W tym kontekście wszelkie rankingi i to co z nich wynika wydają mi się stratą czasu. A to nastawia mnie do nich negatywnie.

Jednak próbując odnieść się do rankingów obiektywnie i (być może) dokonać weryfikacji mojego podejścia do rankingów, postawiłem zasadnicze pytanie: czy jest coś złego w rankingach? I drugie – a co jest dobrego?

Od starożytności chcieliśmy wiedzieć, kto lepiej rzuca, biega, jest sprawniejszy fizycznie itd. W igrzyskach olimpijskich chodziło właśnie o ocenę sprawności fizycznej. Zatem starożytni, którym trudno zarzucić brak intelektu, ograniczali rankingi do sportu, a więc do czegoś, co było w części zabawą, chociaż zapewniało sławę do następnych igrzysk. I co najważniejsze – było jednoznacznie mierzalne. Nie znano dopingu, jak sądzę, więc wyniki odzwierciedlały w miarę obiektywnie sytuację w tej dziedzinie. Przez setki lat tak było. Wraz z rozwojem gospodarki towarowo-pieniężnej i związanej z nią konkurencji występowała walka o jakość dostarczanego wyrobu, który świadczył o jego twórcy (bez rankingu). Dobry piekarz czy szewc nie musiał być „rankingowany”. Jego wyrób decydował o jego pozycji na „lokalnym rynku pieczywa” czy „lokalnym rynku obuwia”. Tak było przed i w trakcie rewolucji przemysłowej. Niektóre ośrodki stawały się sławne z produktów sprzedawanych na cały świat, nie były to już więc rynki lokalne.

Coś jednak zmieniło się w erze gospodarki globalnej. Pojawiła się nienaturalna, jak mi się wydaje, niezwykle modna i zyskowna, a więc prężnie się rozwijająca tendencja do mierzenia wszystkiego. Zmierzone i zmodelowano ekonomię, zapominając, że relacje międzyludzkie w ten sposób się zmierzyć nie dają. Powstaje więc pytanie – co dziś jest objęte rankingami: wydaje się, że prawie wszystko, a na pewno coraz więcej. Ostatnio dołączyliśmy do tego z dumą naukę i osiągnięcia naukowe. Wydaje się, że postawiliśmy ją w tym samym rzędzie co sport, w którym liczy się mierzalny wynik osiągany coraz bardziej zmyślnymi metodami, w których sprawność mięśni ma coraz mniejsze znaczenie. Postawiliśmy ją w tym samym rzędzie co przedsiębiorstwo, którego naturalnym celem jest sprzedać jak najwięcej i osiągnąć jak największy zysk, przy czym każdy chwyt marketingowy jest dozwolony. Teraz będziemy rankingować naukowców, więc chyba dopuszczamy te same mniej lub bardziej uczciwe i etyczne metody, gdyż – liczy się wynik. I tylko wynik. A ten – powtórzę to raz jeszcze jasno – można osiągnąć różnymi me-

todami i te różne, także nieetyczne metody będą stosowane. Początkowo przez tych, którzy znają się na marketingu czy „montowaniu spółdzielni”, a później także przez tych, którzy poczują się oszukani, jeśli działając tradycyjnie, tracą pole na rzecz tych, którzy stosują mniej uczciwe metody. Więc tylko nieliczni z nich pozostaną na swoich etycznych pozycjach. Zgodnie ze starym prawem Kopernika, że zły pieniądz wypiera dobry pieniądz. Taka będzie dialektyka rankingów.

Aby jednak nie popaść w przesadną ocenę, wróć do pytania – co przemawia za rankingami w nauce? Otóż, można znaleźć kilka argumentów:

- **Upowszechnienie wiedzy o pozycji naukowej** danej osoby lub uczelni. To oczywiście demokratyzuje ocenę, ale oznacza konieczność standaryzacji (różne kryteria = różne wyniki). Czy ona jest konieczna? W gruncie rzeczy w każdej dziedzinie nauki ci, którzy ją uprawiają, mogą wskazać kilka najlepszych nazwisk. Bez rankingów. Jak to się dzieje? A jakoś tak samo. Ktoś miał dobre wystąpienie na konferencji i wiele osób to zapamiętało. Ktoś napisał książkę, której trudno nie przeczytać, czyjs artykuł wzbudził zażartą dyskusję. Inaczej mówiąc, ten nierankingowany ktoś uczynił to, co w nauce najcenniejsze – przedstawił logicznie i zrozumiale pewną ważną myśl i zmusił do pochylecia się nad nią innych ludzi. To jest dla mnie nauka, jeśli inni muszą rozważać za i przeciw temu, co mówię. Przy okazji warto podkreślić, że wystąpienie na międzynarodowym kongresie, na którym kilkudziesięciu, a częściej kilkuset ludzi „z branży” może poddać krytyce lub zachwycić się przemyśleniami polskiego naukowca, w ogóle nie jest uwzględniane w rankingu. Może przynieść sławę międzynarodową, ale nie punkty. Komu więc jest potrzebne upowszechnienie wiedzy o pozycji naukowej uczelni. Być może przyszłym studentom, którym wystarczy jakaś liczba magiczna, aby chcieć studiować na danej uczelni. A może tak wcale nie jest? Może jednak chcą studiować to, co sobie wymyślili, a znając renomę pewnych uczelni, chcą studiować właśnie na nich. Ta renoma nie wynika bynajmniej z oceny rankingowej, lecz z nazwisk osób, które tę uczelnię tworzą. Nie, z tego że na niej pracują, ale tworzą jej markę swoim postępowaniem i osiągnięciami. Czy ja się mogę mylić... Pewnie tak. A czy ktoś przepytwał kandydatów na studia, czym się kierowali, wybierając taką czy inną uczelnię. Pozycją w rankingu czy chęcią studiowania danego kierunku i możliwością obcowania z najlepszymi w tej dziedzinie? Może byśmy mieli na ten temat wiedzę, a nie tylko intuicję.
- **Szybkość oceny.** O tak, ranking pozwala mi dokonać natychmiastowej oceny. Jesteś pierwszy – jesteś najlepszy. Nikt nie pyta w tym momencie o kryteria. Kieruje się nazwą rankingu. Najlepsza uczelnia w grupie takiej to a takiej. Super – tam idę studiować, a tam nie idę. Wierzę twórcom rankingów. To na nich spada odpowiedzialność za oceny. Wiem, że się do tego przykładają, ale zdarza się, że kryteria są ze sobą zbyt powiązane, wspierają się nawzajem. Ta szybkość oceny jest wygod-

na także w innych sytuacjach. Nie trzeba znać dorobku, aby dokonać oceny. Recenzuję czyjś wniosek – nie pytam o dorobek, lecz o indeks Hirscha. Nie muszę więc czytać ani tytułów jego publikacji, ani chociażby wprowadzenia czy abstraktu, nie mówiąc o całości. Mogę go zdyskwalifikować lub zakwalifikować. Postępuję słusznie, bo zgodnie z kryteriami. Może nawet etycznie i moralnie, bo przecież zgodnie z zasadami. Co najwyżej – niezgodnie z własnym przekonaniem (kiedyś nazywanym sumieniem), które mi sugeruje (niesłusznie z zasadami), że aby kogoś ocenić, powinien znać przedmiot oceny, czyli jego dokonania. Nie zaś posługiwać się indeksem, który stworzyli inni.

- **Wygoda.** Upraszczenie ocen, możliwość ich dokonywania za pomocą jakichś innych, dokonanych wcześniej ocen jest wygodne jak rzadko co. W dodatku odpowiedzialność nie spada na mnie, lecz na ocenianego (nie ma „Hirscha”) lub na kogoś kto wpisał, że „Hirsch” musi być. To jest wygoda dla każdej biurokracji, która ma coś dać (np. pieniądze na badania) lub ocenić biurokrację niższego rzędu. A ja jako naukowiec, uczestnicząc w takim trybie oceny i poddając się mu, staję się trybikiem w maszynie biurokracji, która systematycznie zawłaszcza obszar swobody myśli, innowacyjności i wolności intelektualnej zwany nauką, ale także zwalnia mnie z odpowiedzialności.

Sądzę, że dla przyspieszającego tempo zmian i coraz mniej odpowiedzialnego świata są to korzyści oczywiste. A dla nauki?

Wydaje się, że najważniejszym efektem rankingów jest budowanie nowej postaci: wystandaryzowanego profesora. Można zlikwidować (a może już upadła) starą (przestarzałą?) relację – uczeń-mistrz, która była podstawą wymiany myśli i rozwoju naukowego. Jeden z kolegów profesorów napisał: „Ludzkie myślenie, (...) skazano na punktowy wyścig szczurów. Tam gdzie wyniki są efektem czasu, refleksji i konsekwencji, zaproponowano korporacyjny wyścig”. O czym można myśleć, biegnąc w wyścigu. Sądzę, że tylko o zwycięstwie. A jako że zwycięstwo jest efektem spełniania kryteriów, to o sposobach osiągnięcia najlepszych wyników przy tych kryteriach. Niestety, a może na szczęście, nie mierzą one faktycznego wkładu intelektualnego – trudno o refleksję w biegu po zwycięstwo, bo ona spowalnia tempo, a zbyt wolne tempo to utrata miejsca w biegu.

Z drugiej strony wymiana myśli jest dziś coraz bardziej zbędna. Zastępują ją słowa kluczowe. Telewizja w dużej mierze zmieniła się w tabloid, który opisuje i kształtuje rzeczywistość. Jestem za tym, aby pisać prosto i zrozumiale o sprawach wielkich. Jest to możliwe. Wymaga to tylko (aż?) wiedzy, chęci, umiejętności i giętkości języka, o której pisał Słowacki. Czy to jednak znaczy, że nauka ma posługiwać się tym samym językiem co tabloidowa telewizja? Chyba jednak nie. Naukowiec może występować w telewizji, nawet powinien, ale używając prostego języka, aby tłumaczyć złożone procesy, nie zaś po to, aby zniżyć do żenujących uproszczeń. Jeśli ma cel inny, np. reklamę samego

siebie, co jest słuszne z punktu widzenia pozycji w rankingach, dla których marketing i promocja to najważniejsze obszary działania naukowca, to chyba nie ma to już wiele wspólnego z nauką...

Cóż, nie uczymy myśleć, lecz znać słowa kluczowe, już w szkole podstawowej, a jeszcze bardziej w średniej. Nic dziwnego, że student szuka haseł, etykiet, słów kluczowych i usiłuje zrozumieć przy ich pomocy złożony, jakby nie było, świat. Oczywiście nie każdy. Studiowanie, jako czytanie ze zrozumieniem, ba z refleksją nad przeczytanym materiałem, będzie więc ponownie zajęciem dla elity. A tej było, jest i pewnie będzie mniej więcej 10%. A masowo będą dyplomy i rankingi, w których pozycja nie zawsze będzie zdobywana zgodnie z pożądanymi kryteriami merytorycznymi.

Jest w tych spostrzeżeniach sporo tęsknoty za starym światem, za relacjami, które rozumiałem i akceptowałem. Czy to znaczy, że jednak zestarzałem się w tej tradycji, jestem niereformowalny, nie rozumiem postępu? Czy może jednak bronię słusznej, aczkolwiek przegranej sprawy?

Młodzi czują się w tym świecie rankingów dobrze. Większości nie jest potrzebna umiejętność pisania długiego tekstu, który ma archaiczną strukturę: wprowadzenie, teza, cel, rozwinięcie i wnioski na zakończenie. Nawet z krótkiej notatki w Internecie większość czyta linijkę lub dwie.

Jaki to ma związek z nauką? Czy do tego chcemy doprowadzić naukę? Czy nauka powinna się izolować od postępu, czy tylko od takiego postępu, czyli działań na poklask i pokaz? Czy może jednak należy bronić „starego porządku”? Z emocji czy z racjonalności?

Czy standard jest dobry na wszystko? Kto ma wątpliwości, niech posłucha Macieja Stuhra, który w standardowej procedurze próbuje załatwić sprawę nietypową, a właściwie typową, lecz nieprzewidzianą procedurą¹. Standaryzacja, podstawowa cecha rankingu, jest zagrożeniem wiedzy i innowacyjnego myślenia. Jak ocenić standardowo rewitalizację High-Line w Nowym Yorku? Ktoś zrealizował pomysł, aby starą linię nadziemnej kolei miejskiej przerobić na park, w otoczeniu totalnie pozbawionym zieleni. Przykład znany na całym świecie, ale nie z rankingu, lecz z opisu lub własnego doświadczenia.

Inny przykład – kładka rowerowa przez Wisłę. Konkurs (FUTUWAWA) nagradzający nowe pomysły – tak. Tak, to coś innego niż ranking: trzeba pochylić się indywidualnie nad każdym projektem, aby móc go ocenić. Zatem konkurs to nie ranking. Każdy konkurs to poszukiwanie NOWEGO rozwiązania, to konieczność myślenia, posiadania wiedzy. Można nawet nie być białym kołnierzykiem, bo nie to ma znaczenia. Liczą się umiejętności, innowacyjność, kreatywność, nowatorstwo.

Można oczywiście powiedzieć – te konkursy to nie nauka. Na szczęście jest coraz więcej konkursów także w nauce. Jednak ciekawy, innowacyjny, nowatorski, pożyteczny

¹ (<http://www.cda.pl/video/4052087/Maciej-Stuhr-Infolinia> lub <https://www.youtube.com/watch?v=3nrdq9eHApI>)

i potrzebny projekt to nie dość. Trzeba dodać wyniki rankingów – jaki to ma sens? Oczekuje się ode mnie, abym zajmował się marketingiem mojej osoby, czego nie lubiłem całe życie i czego nie będę robił. Zakładał jakieś bazy, pilnował jakichś wyników. Nie to, że tego nie lubię – fizycznie tego nie znoszę.

Mam kilku doktorantów, którzy wiedzą, że ja zaangażuję się w to, co oni chcą zrobić w swoich doktoratach – innowacyjnego, dotyczącego miast, ich strategii, rewitalizacji itd. Występują więc o granty. I naraz okazuje się, że nie mogę być ich promotorem. W zakresie, którym się zajmuję, nie znam osoby, która w ciągu ostatnich 5 lat opublikowała jako redaktor i współautor 5 książek z tej dziedziny. Dlatego chcą u mnie pisać te doktoraty. Ale nie dostaną grantu na badania z NCN, bo ja nie mam indeksu-H.

Co robić? Poddaję się biurokracji. Tracę niedzielę, wpisuję się w jakąś bazę i w końcu okazuje się, że pan Hirsh mnie zna. Ulga dla moich doktorantów – mogą walczyć o granty. Ja chyba też powinienem się cieszyć, bo w tę niedzielę narodziłem się jako naukowiec. Dla biurokracji.

...a przecież mi żal, że jak dawniej śnią nam się bożyszcza
I jakoś tak jest, że gotowiśmy czołem im bić

[B. Okudźawa w tłum. W. Dąbrowskiego]

JERZY MARIAN BRZEZIŃSKI

etyczność rankingów

Żyjemy w świecie rankingów. Podejmując różnorakie decyzje – żłobek, przedszkole, szkoła, uczelnia, bank, szpital, a być może też i cmentarz – interesujemy się tym, jakie miejsce zajmuje w rankingu dana instytucja. Stajemy się coraz bardziej zależni od decyzji, ale też i łatwowierni. Rankingi mogą być źródłem (niekoniecznie wiarygodnym!) sukcesów i porażek. To nie jest tak, że są jedynie źródłem czystego opisu danego stanu. Przecież te same jednostki – np. modne jest przeprowadzanie przez różne redakcje poczytnych czasopism czy dzienników rankingów kierunków studiów – mogą być, w zależności od przyjętego zestawu wskaźników, różnie uporządkowane. Myślę, że nie istnieje coś takiego jak „obiektywny” ranking. Zawsze jest to ranking przeprowadzony przez kogoś, za pomocą określonych narzędzi, w jakimś celu, dla uzyskania określonego efektu i pod określonego odbiorcę. Co więcej, rankingi mogą też dostarczać ich twórcom i propagatorom jakichś dóbr – np. dla środków masowego przekazu mogą to być reklamy czy zwiększony nakład gazety lub czasopisma. Uczelnie mogą spodziewać się zwiększenia naboru na prowadzone kierunki studiów, które zajęły wysokie pozycje w rankingu. Jeżeli już przywołałem przykład z kierunkami studiów, to zapytam: dlaczego

rankingom poddaje się na ogół tylko tzw. atrakcyjne kierunki studiów (prawo, medycynę, psychologię itp.), a nie poddaje się takim ocenom (bo są to oceny i to subiektywne) takich kierunków, jak: filologia klasyczna czy teologia?

Idźmy dalej i zapytajmy: komu są potrzebne rankingi? Kto się w nie wczytuje? Jeżeli ograniczymy się tylko do naprawdę poważnych ich potencjalnych odbiorców z kręgu instytucjonalnej nauki i szkolnictwa wyższego (pomijam ranking np. producentów nart), to można wymienić następujących odbiorców:

- decydenci państwowi (agencje MNiSzW) – cel: rozdział środków finansowych na działalność badawczą, dofinansowanie działalności wydawniczej, przyznawanie środków na zakup aparatury badawczej itp.
- uczelnie (i ich jednostki organizacyjne: wydziały, instytuty) – cel: poznanie mocnych i słabych stron własnej instytucji, dowiedzenie się, jak my wypadamy na tle innych, podjęcie działań usprawniających pracę jednostek.
- instytuty (PAN i resortowe) – cel: podobny jak w przypadku uczelni, tyle że bez części edukacyjnej.

I jeszcze trzeba wymienić dziennikarzy specjalizujących się w tematyce naukowej i związanej ze szkolnictwem wyższym. To oni – lepiej albo gorzej – przenoszą (wraz z niezbędnym autorskim komentarzem) wyniki rankingów do świadomości społeczeństwa. Uważam, że nawet najlepiej przeprowadzony ranking może być przez niedoświadczonego dziennikarza wypaczony. Ważne tedy staje się podjęcie współpracy dziennikarzy „od nauki” ze specjalistami (w dziedzinie objętej rankingiem). Z pełną tedy aprobatą przywołuję tu wypowiedź byłego rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Karola Musioła², która odnosi do autorstwa osób piszących o sprawach nauki: „[...] Uczelnie powinny wspomagać dziennikarzy. Tekst dotyczący spraw naukowych powinien być tworzony wspólnie przez naukowca i dziennikarza tak, aby był zrozumiały w czytaniu i zachował przekaz naukowy. [...]”. Gdyby, jakiś czas temu, jedna z redakcji poczytnego dziennika skonsultowała tekst swojego dziennikarza ze specjalistą w zakresie parametryzacji jednostek naukowych, to czytelnicy nie musieliby się zastanawiać nad taką czy inną pozycją jednostki naukowej w tym pseudorankingu i dopatrywać się ukrytych sensów, a właściwie nonsensów. A wystarczyło tylko zapytać...

Twórcy różnorodnych rankingów (pomijam te, publikowane w celach czysto komercyjnych, czy te, które z racji nieudolności ich autorów nie zasługują na naszą uwagę) powinni być świadomi tego, do jakich konsekwencji (szczególnie tych przykrych dla instytucji czy osób „wplątanych” w ranking) może ranking doprowadzić. Dotyczy to zwłaszcza tych konstrukcji, które oparte są na wątpliwej metodologii – kryteria wzięte „z sufitu”, brak ich merytorycznego uzasadnienia (dlaczego właśnie te?), reprezenta-

² Musioł K. (2014/2015). *Nowe zadania uniwersytetu*. PAUza Akademicka, 2-3, s. 277-299.

tywność dokonanych uogólnień. Ale nawet metodologicznie poprawnie skonstruowany ranking może budzić różne wątpliwości – przede wszystkim natury etycznej. To, że coś zostało poprawnie – zgodnie z regułami sztuki – skonstruowane, nie musi wcale oznaczać, że jego **użycie** nie będzie wywoływało różnych głosów uzasadnionej krytyki. Warto się przed tym zabezpieczyć. Łatwiej bowiem do czegoś niepożądanego nie dopuścić, aniżeli *post factum* naprawiać (o ile będzie to możliwe).

Chciałbym tedy w mojej wypowiedzi skupić się na czymś, co można nazwać **standardami** konstruowania i użycia rankingów. Owe standardy odnoszą się – co wyżej zasignalizowałem – do strony **metodologicznej** (konstrukcyjnej) rankingów, jak i do strony **etycznej** (związanej z możliwymi nadużyciami w warstwie interpretacyjnej i aplikacyjnej).

Chciałbym aprobatywnie przywołać wypowiedź etyka Włodzimierza Galewicza³, który zwraca uwagę na to, że badacza, poza uczciwością, powinna jeszcze cechować „staranność” czy „sumienność”: „[...] badacz, który stawia jakąś błędną tezę, może postępować w sposób nieuczciwy, jeżeli opiera ją na sfalszowanych danych; ale może to robić także w wyniku **niedbalstwa**, jeżeli nie zadbał o to, aby poszukać danych, które mogłyby ją obalić lub sfalsyfikować” (wyróż. moje). Uważam za uzasadnione przywołanie tej wypowiedzi, gdyż twórca rankingu funkcjonującego w sferze naukowej (nawet gdy „tylko” chce, za jego pomocą, uzyskać pewne efekty w sferze społecznej, np. w populacji osób korzystających z usług edukacyjnych uczelni wyższych) występuje w roli badacza. Myślę tak, gdyż od starannego przygotowania rankingu pod względem metodologicznym zależy jego wartość. Mało tego, zależy też jego etyczność. Pomówmy zatem o metodologii rankingów i o nierozzerwalnie z nią związanej etycznością.

Zacznę jednak od przykładu rankingu polskich uczelni przeprowadzonego i opublikowanego przez prestiżowy i opiniotwórczy tygodnik „Polityka” (nr 22 z 2013 r. i nr 22 z 2014 r.)⁴. Wybrałem ten przykład, gdyż: (1) jak napisano w tekście wprowadzającym – pióra prof. Janusza Gila z Uniwersytetu Zielonogórskiego, szefa zespołu, który przygotował oba rankingi – do wyników pierwszego rankingu „Polityki” z 2013 r.:

[...] Jest to **ranking czysto naukowy**, który może stanowić dobre uzupełnienie funkcjonujących w Polsce dorocznych rankingów szkół wyższych. Ten prowadzony wspólnie przez „Perspektywy” i „Rzeczpospolitą”, edukacyjny, przeznaczony jest dla kandydatów na studia. Z kolei ten prowadzony przez tygodnik „Wprost” jest rankingiem uczelni, których absolwenci są najbardziej poszukiwani przez pracodawców. To prawda, że dobra dydaktyka jest często w najlepszych uczelniach wynikiem wysokiego poziomu badań naukowych. Jednakże

³ Por. Galewicz Wł. (2009). *O etyce badań naukowych* (s. 59-69). Kraków, Universitas, s. 60.

⁴ Por. zestawienie poddanych rankingowi uczelni wraz z podanymi wartościami wskaźników: http://www.polityka.pl/nauka/_resource/multimedia/20034494 oraz omówienie oraz autokomentarze: <http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/nauka/1543843,1,naukowy-ranking-uczelni-polityki-warszawski-przed-jagiellonskim.read>

nie zawsze tak bywa i dlatego **ranking naukowy uczelni może być przydatnym, a nawet pożądanym dopełnieniem obrazu szkolnictwa wyższego w Polsce**” (wyróż. moje)⁵.

(2) jest dobrą ilustracją tego, jak wśród wybitnych fachowców nie musi dochodzić do zgody co do przyjętej metodologii.

W rankingu „Polityki” jego metodologiczną osią był rozpowszechniony w naukometrii (i akceptowany przez różne instytucje zajmujące się oceną instytucji naukowych i badaczy; KEJN, CK, NCN) indeks h-Hirscha. Janusz Gil tak uzasadniał tę decyzję autorów koncepcji metodologicznej rankingu:

W ubiegłym roku ogłosiliśmy („Polityka” 22/13) pierwszy ranking polskich uczelni akademickich (posiadających co najmniej jedno uprawnienie do nadawania stopnia naukowego doktora) oparty na indeksie Hirscha. W drugiej edycji zastosowaliśmy identyczną metodologię jak w ubiegłym roku, opierając się na bazie danych Instytutu Informacji Naukowej z Filadelfii (ISI) oraz narzędziach do jej przeszukiwania i analizy znanych jako Web of Science/Web of Knowledge. Baza ISI gromadzi informacje o indeksowanych w niej czasopismach (artykułach i ich cytowaniach). Ich listę, znaną powszechnie w Polsce jako Lista Filadelfijska, ISI ustala na podstawie mierzalnego indeksu cytowań (*impact factor*).⁶

Jego użycie w tym celu wywołało głosy krytyki. Profesorowie Marek Kosmulski z Politechniki Lubelskiej oraz Adam Proń z Politechniki Warszawskiej podważyli wiarygodność tego rankingu odwołującego się do tego tylko jedyne go wskaźnika naukometrycznego⁷:

Kilka lat temu („Forum Akademickie” 10/2011) jeden z nas szczegółowo omówił ranking „Perspektyw” i „Rzeczpospolitej”, podkreślając szereg błędów metodologicznych przy jego konstruowaniu, nieumiejętne korzystanie z baz danych czy niewłaściwy wybór kryteriów oceny. Niestety, prosty, oparty na jednym kryterium (wskaźniku Hirscha) ranking „Polityki” nie daje lepszej oceny naukowych osiągnięć polskich uczelni. [...] **Wskaźnik Hirscha jest więc miarą popularności prac pochodzących z danej uczelni**. Proponowany ranking oparty jest na założeniu, że popularność danego artykułu jest miarą jego wartości naukowej. Nawet gdyby tak było, to należy sobie zdawać sprawę, że w wersji użytej przez Gila i współpracowników h jest parametrem ekstensywnym i silnie zależy od liczby pracowników naukowych uczelni. Powoduje to, że mała uczelnia nie ma szans wygrania rankingu z dużą, nawet gdy średnia popularność ich prac jest większa. [...] **Trudno więc się oprzeć wrażeniu, że autorzy rankingu „Polityki” nie byli w pełni obiektywni** i dobrali takie kryterium, które promuje ich uczelnię. Ścisłą czołówkę rankingu „Polityki” stanowią UW i UJ, a więc ma on pozory wiarygodności. Brak obiektywizmu jest powszechny wśród twórców różnych rankingów naukowych.

⁵ Por. <http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/nauka/1543843,1,naukowy-ranking-uczelni-polityki-warszawski-przed-jagiellonskim.read#ixzz2VhtoReVy>

⁶ Por. <http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/nauka/1581127,1,ranking-uczelni-uw-pierwszy-uj-drugi.read>

⁷ Por. <http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/nauka/1585569,1,ranking-uczelni-polityki-malo-obiektywny-naukowcy-krytykuja-autor-odpowiada.read>. Pod tym samym adresem dostępna jest odpowiedź prof. J. Gila.

J. Gil odrzucił wszystkie zarzuty, uważając, że sporządzony przez jego zespół spełnia kryteria poprawności metodologicznej – oparcie go na jednym **sumarycznym wskaźniku Hirscha**. Jest słabością ich podejścia, że praktycznie wyeliminowali wkład do pozycji naukowej uczelni osiągnięć naukowych dyscyplin humanistycznych, a także (przynajmniej w dużej części) społecznych. Jak napisali⁸:

Jest też oczywiste, że główny wkład do sumarycznego indeksu Hirscha wnoszą przedstawiciele nauk przyrodniczych i medycznych, i to nie tylko w Polsce, ale na całym świecie. Przedstawiciele nauk humanistycznych, społecznych i ekonomicznych są pomijani z różnych powodów. Nie można mieć jednak pretensji do rankingu opartego wyłącznie na indeksie Hirscha, że nie bierze pod uwagę publikacji w nieindeksowanych czasopismach. Tym bardziej że wiele z nich przy odrobinie wysiłku mogłoby się w tych czasopismach ukazać, a nawet doczekać reakcji w postaci cytowań.

No cóż, osobiście – w tej polemice – podzielałam poglądy M. Kosmulskiego i A. Pronia. Jeżeli to ma być – przynajmniej jak na razie – jedyny polski **naukowy** ranking uczelni, to musiałby on uwzględniać także miary ważności publikacji humanistycznych i społecznych. Musiałby zatem wyjść poza bazę *Web of Science* (lista JCR). Trzeba też sięgnąć do bazy SCOPUS (mimo niechęci autorów rankingu do niej). Uważam, że jak dwa polskie uniwersytety wchłonęły Akademię Medyczne (Collegium Medicum na UJ i UMK), to w ten prosty sposób istotnie poprawiły swoje sumaryczne indeksy h-Hirscha. Zatem trzeba też uwzględnić publikacje naprawdę dobrych wydziałów humanistycznych i społecznych uniwersytetów. Uniwersytet to wielość dyscyplin naukowych. W rankingu „Polityki” liczą się tylko te uczelnie, które zatrudniają dużo przedstawicieli „twardych” dyscyplin naukowych. Autorzy stworzyli ranking tylko jednego podzbioru jednostek poszczególnych uczelni. I jeszcze jedno, autorzy uważają, żeby „[...] na każdej uczelni akademickiej w Polsce były, choć nieliczne, jednostki widoczne w międzynarodowych bazach danych”. Jeżeli autorzy sięgnęliby do bazy SCOPUS, to okazałoby się, że „odnalazłyby się”, na przykład, tak prestiżowe w nauce światowej czasopisma jak: „Mind”, „Erkenntnis”, „The Journal of Philosophy” czy „Journal of Philosophical Logic”⁹ i polscy autorzy zamieszczonych w nich artykułów. Dziś próżno szukać tych tytułów na liście JCR. I jeszcze jedno bardzo ważne pytanie: A co z monografiami naukowymi?

Polemika wokół tego jednego rankingu (pomijam już kwestie jego rzeczywistego znaczenia i oddziaływania na środowisko akademickie w Polsce) pokazuje, jak ważne jest głębokie przemyślenie metodologii i poddanie jej środowiskowej dyskusji – wszak ranking obejmuje swoim zasięgiem wszystkie tzw. akademickie jednostki (wedle kryterium posiadania co najmniej dwóch uprawnień doktorskich; i tu już autorów nie raziło

⁸ Por. przypis 6.

⁹ Por. krytyczną analizę list czasopism stosowanych w Polsce dokonaną przez: Woleński, J. (2013). *Nauka*, 1, s. 55-68; też: Wiśniewski, A. (2006). *Dlaczego humaniści nie są wielbłędami, czyli o ocenie parametrycznej jednostek naukowych*. *Nauka*, 1, s. 121-128.

to, że mogą to być uprawnienia typu humanistycznego czy społecznego) – zanim zaczniesz go realizować.

Dochodzę zatem do **pierwszego kryterium dobrego rankingu – rzetelna i akceptowana w środowisku specjalistów metodologia**. Chodzi mi o to, aby przyjęta (a dodaję jeszcze: oceniona w trybie *peer review*!) metodologia prowadziła autorów projektowanego rankingu do trafnych wyników, które będą mogły posłużyć do podjęcia różnorodnych działań (też tych naprawczych). To zaś oznacza, że poddane rankingowi jednostki (instytucje czy osoby) mają równy dostęp do kryteriów, aczkolwiek w różnym stopniu je spełniają. W przytoczonym wyżej przykładzie w lepszej sytuacji były te jednostki, które mieściły się w zasięgu jedyne kryterium: publikowania w czasopiśmie z listy JCR (wg niej budowano sumaryczny indeks h-Hirscha). Uczelnie mniejsze i o profilu humanistyczno-społecznym znajdują się na gorszej pozycji w rankingu „Polityki”.

Wszystkie rankingi powinny odwoływać się do zbioru danych, które zostały nie tylko starannie zebrane, ale też sprawdzone i opublikowane (np. w Internecie). Jeżeli twórcy rankingu chcą skorzystać z danych typu samoopisowego (bo łatwiej i taniej), to od razu pojawia się wątpliwość: czy aby są to dane prawdziwe, czy nie podano informacji stawiających daną jednostkę w niezasłużenie korzystnym świetle, czy nie podano danych nieaktualnych. Gdy udział jednostki w rankingu jest dobrowolny, to może wystąpić niekorzystny efekt związany z tym, że nie podda się ona rankingowi i w ten sposób słabe jednostki będą poza rankingiem. Sam zaś ranking straci na swojej reprezentatywności. Jeżeli twórca rankingu nie zagwarantował rzetelności danych, to powinien o tym poinformować, że owszem jakaś, powiedzmy że uczelnia, dostarczyła wymagane dane, ale nie zostały one przez niezależnych ekspertów zweryfikowane. W przeciwnym wypadku ranking staje się tylko zabawą – bywa, że społecznie szkodliwą. Zatem **drugie kryterium – ranking musi odwoływać się do danych aktualnych, zebranych w sposób zobiektywizowany, i transparentnych (intersubiektywnie sprawdzalnych)**.

W obrębie danego rankingu mogą być ze sobą porównywane tylko jednostki, jeżeli nie identyczne, to w maksymalnym stopniu do siebie podobne. Nie można porównywać „jabłek i gruszek”¹⁰. Dochodzimy do **trzeciego kryterium – prowadzenie porównań jednostek w grupie jednorodnej**. W ocenie parametrycznej ostatnio przeprowadzonej przez KEJN bywało, że w tym samym zbiorze (traktowanym jako jednorodny!) jednostek z nauk społecznych znalazły się pojedyncze instytuty, wielokierunkowe wydziały i nawet kilka uczelni. Owa jednorodność zbioru jednostek pozostawała jedynie w sferze deklaracji.

I ostatnie, **czwarte kryterium – ranking powinien być zabezpieczony przed konfliktem interesów:**

¹⁰ Zaczepnięte z: Błocki, Z., Życzkowski, K. (2013) *Czy można porównywać jabłka i gruszki? O danych bibliometrycznych w różnych dziedzinach nauki*. Nauka, 2, s. 37-46.

- instytucje poddane rankingowi nie mogą partycypować, nawet „pośrednio”, w kosztach rankingu – np. zamieszczanie reklam swoich instytucji w wydawnictwach organizatora rankingu czy wprowadzając jakąś opłatę manipulacyjną;
- członkowie kapituły nie mogą pełnić funkcji kierowniczych i właścicielskich w jednostkach poddanych rankingom, a w szczególności nie powinni pełnić żadnych funkcji kierowniczych w jednostkach poddanych rankingowi – zwłaszcza gdy mają wpływ na podejmowanie decyzji arbitralnych.
- odrębnym problem są rankingi – tak je nazwę – komercyjne. Takie się zdarzają; prowadzone są przez różne media (internetowe, czasopisma, dzienniki itp.), które żyją z opłat oraz reklam – też instytucji poddanych rankingowi. Można zasadnie zadać pytanie: Jaki wpływ na nakład czasopisma ma publikowanie rankingu?
- ranking jest też sposobem na promocję jakiejś jednostki (instytucji, osoby); może ona, gdy prowadzi działalność odpłatną, podnieść wysokość honorariów od swoich klientów, gdy się „okaże”, że zajmuje wysoką lokatę w jakimś rankingu.

Ja wiem, że koszty przeprowadzenia rankingu mogą być wysokie. Nie można jednak dopuścić do tego, aby koszt udziału w rankingu był pokrywany przez jego uczestników. Jeżeli ranking jest ważny ze społecznego punktu widzenia, to powinny też znaleźć się środki na jego koszty (też zapewniające niezależność ekspertów).

Nie bez znaczenia jest język, w którym wyniki jakiegoś rankingu będą ogłoszone. Ważne jest tedy postawienie pytania: Kto ma być odbiorcą rankingu? Język komunikatu musi być dostosowany do odbiorcy. W tym przypadku chodzi o **intersubiektywną komunikowalność**. To, że my rozumiemy ranking, to za mało. Ranking musi być czytelny i zrozumiały dla potencjalnego odbiorcy. I wymóg intersubiektywnej komunikowalności odnosi się do twórców rankingu i – jeżeli to nie są te same osoby – autorów raportu.

Tyle moich uwag dotyczących różnych aspektów rankingów: metodologicznych, komunikacyjnych i etycznych.

JAN SADLAK

Miejsce i wartość dodana rankingów akademickich [pomimo ich metodologicznych ograniczeń]

Szerszy kontekst i miejsce rankingów akademickich

Chyba nie zaskoczę uczestników naszej debaty, że w swojej wypowiedzi będę prezentował tezę o „wartości dodanej” obecnie tworzonych rankingów dla opisu różnych aspektów funkcjonowania szkolnictwa wyższego, a zwłaszcza tych dotyczących „nauki”, czyli przede wszystkim do „badań” – *research*. Nie znaczy to oczywiście, że nie dostrzegam określonych słabości rankingów, szczególnie jeśli chodzi o pewne aspekty stoso-

wanych rozwiązań metodologicznych oraz niebezpieczeństwa, jakie mogą wynikać z błędnej interpretacji lub niewłaściwego posługiwania się rankingami. Ale takie ostrzeżenie można odnieść do innych form oceny jakości w szkolnictwie wyższym czy nauce.

Swój pogląd o wartości rankingów dla oceny w sferze nauki opieram na następujących przesłankach:

- Nauka była i jest *par excellence* przedsięwzięciem o dużym stopniu konkurencyjności, co oczywiście nie wyklucza możliwości współpracy czy współautorstwa. Charakterystyczny dla dzisiejszych czasów jest stopień konkurencyjności i jej globalny charakter;
- Prowadzenie badań, zwłaszcza w niektórych dyscyplinach, takich jak badania podstawowe w naukach ścisłych czy medycznych, wymaga wysokich nakładów, co stwarza duże wyzwanie dla procesów decyzyjnych i związanych z nimi potrzeb informacji;
- Podobnie jak w szkolnictwie wyższym nastąpiło swojego rodzaju umasowienie „nauki”. Według raportu *Knowledge, Networks and Nations: Global scientific collaboration in the 21st century*, który został opublikowany w 2011 roku przez brytyjskie The Royal Society: obecnie „świat nauki” to 7 milionów naukowców publikujących w ponad 25 000 publikacjach naukowych (The Royal Society, 2011). Ocenia się, że nowy naukowy tekst jest publikowany co 20 sekund;
- Znacznie wzrosło znaczenie ekonomiczne „nauki” jako „źródła innowacyjności”, czego dowodem jest wyraźna korelacja pomiędzy nakładami na naukę a konkurencyjnością gospodarczą, czy też malejący okres między publikacjami naukowymi a wdrożeniem ich efektów. W tym kontekście określenie *knowledge-based economy* należy odczytać jako *knowledge-dependent society*. Dalej w tym samym kierunku wyrażony jest pogląd o rosnącej roli tzw. klasy kreatywnej, której znaczenie, jak argumentuje Richard Florida, jest szczególnie ważne dla współczesnych mechanizmów determinujących ekonomiczny rozwój i organizację życia społecznego (Florida R., 2002).

Przedstawiona wyżej lista obrazująca skalę zmian nie jest pełna, ale moim zdaniem wystarczająco przekonująca o tym, jak bardzo się zmieniły **warunki i oczekiwania**, jakie odnoszą się do sfery nauki. Do tego należy dodać również zmiany w relacji „władza”, głównie reprezentowana przez „państwo”, a „uniwersytet”, w których instytucjonalna autonomia jest respektowana pod warunkiem wypełniania określonych zadań i spełniania oczekiwań. Wiąże się z tym **zapotrzebowanie na określony typ informacji** – szczególnie takiej, która jest oparta na wymiernych wskaźnikach [*evidence-based information*] (Ruegg W., Sadlak J., 2010).

Decydenci na szczeblu państwa oraz przedsiębiorstw (zwłaszcza tych, które działają na rynkach międzynarodowych) są zainteresowani dostępem do informacji pozwalających na określenie pozycji strategicznie ważnych dla nich instytucji; w tym przypadku uniwersytetów i instytutów badawczych. Pomimo metodologicznych słabości „rankingi”

stały się jednym z takich form informacji dla szerokiej grupy interesariuszy [*stake-holders*]. Jest to grupa wyjątkowo zróżnicowana. Przykładowo, Komisja Europejska w swoim międzynarodowym rankingu wyższych uczelni – *U-Multirank*, wymienia aż 11 takich grup: (1) studenci i ich rodzice; (2) nauczyciele wyższych uczelni; (3) kadra zarządzająca wyższych uczelni; (4) instytuty badawcze; (5) organizacje zrzeszające nauczycieli akademickich; (6) organizacje studenckie; (7) przedsiębiorstwa i organizacje ich reprezentujące; (8) europejskie organizacje reprezentujące różne grupy interesu [*social partners*]; (9) organizacje i grupy badawcze prowadzące analizy porównawcze (10) agencje akredytujące i zajmujące się kontrolą jakości; (11) decydenci na szczeblu narodowym, europejskim i międzynarodowym zaangażowani w sprawy szkolnictwa, nauki i innowacyjności (European Commission, 2011). Należałoby do tej listy dodać także media, a ostatnio również i Internet, bez udziału których rankingi nie miałyby takiego rozgłosu, jak mają obecnie.

Powszechnie panuje pogląd, że to właśnie media są głównymi twórcami rankingów. Bliższa analiza pokazuje, że za wyjątkiem niektórych narodowych rankingów (np. *U.S. News & World Report* w Stanach Zjednoczonych czy *Mcleans* w Kanadzie), przeważająca liczba rankingów narodowych oraz wszystkich znaczących rankingów międzynarodowych jest tworzona przez różnego rodzaju konsorcja, fundacje (np. Fundacja Edukacyjna Perspektywy w Polsce), organizacje badawcze, firmy konsultacyjne, wyższe uczelnie, a nawet ministerstwa (jak ma to miejsce np. w Bułgarii). Natomiast rola mediów ogranicza się do finansowania, prezentacji i publikowaniu rankingów.

Powyższa obserwacja ma szczególne znaczenie dla właściwego zrozumienia najtrudniejszego wyzwania, przed jakim stają twórcy rankingów, a mianowicie wyboru celu rankingu, z czego wynika potrzeba opracowania kryteriów oceny oraz odpowiedniej metodologii. Ponadto, jak w przypadku większości ilościowych badań porównawczych [*comparative studies*], tworzenie metodologii akademickich rankingów pozostaje w ścisłej zależności od dostępnych informacji. W przypadku ich braku istnieje potrzeba wypracowania procedury dla ich zebrania, co stwarza dodatkowe wymogi metodologiczne, nie mówiąc już o związanych z nimi dodatkowych kosztach. W przypadku rankingów międzynarodowych jest to przedsięwzięcie szczególnie kosztowne i często połączone z dużymi problemami logistycznymi, zwłaszcza jeśli chce się uzyskać w miarę wiarygodne zbiory danych.

Ponieważ nasza debata dotyczy rankingów odnoszących się przede wszystkim do sfery badań, dlatego należy podkreślić, że jest to obszar, w którym nastąpiła znaczna poprawa, jeśli chodzi o jakość informacji pozwalających na ocenę „sprawności i wydajności” poszczególnych uczonych, zespołów czy całych instytucji. Mam na myśli istniejące narodowe oraz międzynarodowe bazy danych bibliometrycznych, takich jak: *Web of Science (WoS)* publikowany przez Thomson Reuters, SCOPUS tworzony i administrowany

wany przez Elsevier oraz Google Scholar, który szybko zaznacza swoją dominację, jako szeroko dostępna wyszukiwarka pozwalająca na indeksowanie publikacji oraz ocenę „wydajności naukowej” indywidualnych badaczy.

Wartość dodana rankingów akademickich

Byłoby dużym uproszczeniem traktować obserwowane obecnie zainteresowanie akademickimi rankingami z niekwestionowaną akceptacją. Ale należy również podkreślić, że rankingi się „wybroniły”. Po początkowym ich ignorowaniu i oporze, zwłaszcza ze strony środowiska akademickiego, znajdujemy się na etapie „zachowawczej akceptacji” rankingów, którą dobrze oddaje następujące stwierdzenie „można ich nie dostrzegać, ale trudno je ignorować”.

Potwierdzeniem tego stanu rzeczy jest szereg raportów i analiz (OECD, 2014). Ale nawet sceptyk odnośnie rankingów, tak jak European University Association (EUA), stwierdza na podstawie przeprowadzonych wśród swoich członków badań, że rankingi odgrywają coraz to znaczącą i zauważalną rolę, jeśli chodzi o kształtowanie strategicznego rozwoju i zarządzanie uczelniami. Wynika to z tego, że rankingi przyczyniają się do większego zauważenia zmian zachodzących w otoczeniu szkolnictwa wyższego i nauki, zarówno na szczeblu narodowym, jak i globalnym, szczególnie dotyczące problemów jakości i szeroko rozumianej wydajności [*performance*] (Hazelkorn E. et al., 2014).

Opinia odnośnie „wartości dodanej” rankingów akademickich jest zależna od potrzeb i interesów własnych poszczególnego interesariusza. Dlatego taka lista niekoniecznie musi być jednoznaczna. Niemniej można zapisać na korzyść rankingów to, że:

- tworzą podstawy dla lepszego procesu podejmowania decyzji, zwłaszcza tych, które wymagają posiadania jakościowej informacji odnośnie działalności danej instytucji szkolnictwa wyższego lub nauki;
- prezentują informacje w przystępnej formie, która umożliwia do nich dostęp niezależnie od poziomu znajomości ich odbiorcy o funkcjonowaniu systemu szkolnictwa wyższego i nauki, danej instytucji czy danego programu studiów;
- mogą być traktowane jako orientacyjny wskaźnik [*benchmark*] dla oceny skuteczności działań w ramach własnej uczelni, instytucji, a nawet całego systemu szkolnictwa wyższego i nauki;
- przyczyniają się do opartej na porównywalnych wynikach hierarchizacji wewnątrz danego systemu szkolnictwa wyższego i nauki, co stwarza lepsze podstawy do efektywnego zarządzania, tworzenia dostosowanych dla danego typu instytucji regulacji prawnych etc.;
- przyczyniają się do większej konkurencyjności na szczeblu systemu, uczelni czy też instytucji badawczej;
- przyczyniają się do tworzenia „centrów doskonałości” [*centres of excellence*] i pow-

- stawania inicjatyw, których celem jest promowanie „doskonałości akademickiej”;
- stanowią istotny czynnik dla obniżania różnego rodzaju dewiacji i korupcyjnych działań wewnątrz szkolnictwa wyższego i nauki;
 - stanowią istotną barierę dla powstawania i działań tzw. *degree mills*;
 - stanowią dodatkowe źródło dla lepszej efektywności rozdziału środków na finansowanie systemu szkolnictwa wyższego i nauki, uczelni, instytucji prowadzących badania, programów studiów, współpracy międzynarodowej;
 - mogą być przydatne dla sprawniejszej organizacji i procedur uznawalności zagranicznych dyplomów;
 - mogą być elementem procedur odnośnie zatrudnienia absolwentów;
 - mogą być elementem określającym wiarygodność kredytową danej uczelni;
 - stanowią ważny instrument marketingu danej uczelni lub programu studiów;
 - stanowią często temat debat publicznych, co pozwala zwrócić uwagę na problemy szkolnictwa wyższego i nauki.

Etyczne aspekty nauki a rankingi

W nawiązaniu do ogólnego tematu naszej debaty, chciałbym zwrócić uwagę na to, że etyczne aspekty rankingów w nauce, zwłaszcza w odniesieniu do ich negatywnych skutków, należy rozpatrywać w kontekście występujących obecnie różnego rodzaju zjawisk we współczesnej nauce i badaniach. Zwrócił na to uwagę wpływowy tygodnik – „The Economist”, pod mało budującym tytułem *How science goes wrong*. W całej serii artykułów na ten temat jako główne przyczyny tego stanu wymienia się: presję i ambicje zawodowe, chęć do szybkiego publikowania oraz zaciętą konkurencję w ubieganiu się o pieniądze na badania. Nie znalazłem przykładów, które pozwalałyby wskazać na „rankingi” jako bezpośredni powód dla występujących obecnie negatywnych zjawisk w nauce. Co nie oznacza, że rankingi nie stanowią ryzyka dla „bezinteresownej” współpracy i kontaktów.

Jednocześnie zwraca się uwagę na to, że takie mechanizmy jak *peer-review* pomniejszyły swoją zdolność do weryfikacji wyników badań. Podkreśla się, że zaufanie do nauki oparte jest na tym, że dostarcza zweryfikowanych wyników oraz że funkcjonują sprawnie mechanizmy dla autokorekty błędów. Mamy przykłady tego, że to właśnie dzięki rankingom wyszły na światło dzienne różnego rodzaju „naukowe nadużycia”, takie jak na przykład przypadek egipskiego „naukowca” – Mohameda El Naschiego, związanego z Uniwersytetem Aleksandryjskim, którego publikacyjne machlojki wyszły na jaw w kontekście rankingu, jaki został opublikowany w „Times Higher Education”.

Jeśli chodzi o pytanie, czy „rankingi oddają **poziom jakości** kształcenia, wartości nauki, znaczenia uczonego”, to odpowiedź jest twierdząca, ale tylko w takim rozumieniu „poziomu jakości”, jaki został określony w metodologii danego rankingu. Jednocześnie należy podkreślić, że pomimo różnic w stosowanych metodologiach można odnotować

znaczącą korelację zachodzącą między oceną poziomu jakości danej uczelni a jej miejscem w znaczących międzynarodowych rankingach (Sadlak J., 2014).

Uwagi końcowe

Na koniec tej krótkiej analizy rankingów akademickich chciałbym zwrócić uwagę na to, że „**rankingi**”, zwłaszcza międzynarodowe, **są stosunkowo nowym narzędziem opisywania funkcjonowania i jakości w szkolnictwie wyższym i nauce**. Jest to również dziedzina, w której w ciągu ostatnich kilku lat nastąpiły ważne zmiany. Celem nadrzędnym tych zmian jest poprawa procedur tworzenia rankingów oraz właściwego ich „stosowania” jako źródła informacji i narzędzie dla oceny jakości i większej przejrzystości [*transparency*] w szkolnictwie wyższym i nauce. Przynajmniej taki cel stawia sobie utworzona w październiku 2009 roku międzynarodowa organizacja – *IREG Observatory on Academic Ranking and Excellence*, a o konkretnych jej działaniach i inicjatywach można się dowiedzieć na stronie www.ireg-observatory.org.

Bibliografia

- European Commission (2011). *Implementation of a user-driven, multi-dimensional and international ranking for higher education institutions* [Open Call for tender EAC/42/2011].
- Florida R. (2002). *The Rise of the Creative Class: And How It Is Transforming Work, Leisure, Community and Everyday Life*. New York: Basic Books.
- Hazelkorn E., T. Loukkola, T. Zhang (2014). *Rankings in Institutional Strategies and Processes: Impact or Illusion?*. Brussels: EUA Publications.
- Ruegg W., J. Sadlak (2010). *Relations with Authority* [in:] *A History of the University in Europe, Volume IV: After 1945*. W. Ruegg (Ed.). Cambridge: Cambridge University Press, s. 73-123.
- OECD (2014). *The State of Higher Education 2014 [report edited by A. Glass]*. Paris: The OECD Higher Education Programme (IMHE).
- Sadlak J. (2014). *Pozycja polskich uczelni w międzynarodowych rankingach: fakty, uwarunkowania i szanse awansu*. *Transformacje/Transformations*. 1-2 (80-81) 2014. s. 132-144.
- The Royal Society (2011). *Knowledge, Networks and Nations: Global scientific collaboration in the 21st century*. London: RS Policy document 03/11, March 2011.

The Debates of the Task-Force Committees affiliated with Division One: Humanities and Social Sciences PAS: the Committee of Ethics in Science and the Committee on Science Studies (November 13, 2014, Warsaw)

The paper presents two debates which have been organized by both task-force committees affiliated with Division One: the Committee of Ethics in Science and the Committee on Science Studies: The role of scientist in a public debate, and Ethical aspects of rankings in science. Both debates deal with controversial issues, such as: responsibility of scientists in a public discourse, the competence of scientists in public communication, and their engagement in politics or other kinds of public activities as well as the problem of methodology of academic rankings and their objectivity.

Key words: public debate, responsibility, academic rankings, ethics of rankings